



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz pełitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Słówko o naszych tradycjach.



Coraz częściej słyszeć się dają głosy, przeciwnie—ze względów niby higienicznych, naszemu prastaremu zwyczajowi tradycyjnego obchodzenia wigilii Bożego Narodzenia uczta, spożywaną wspólnie w gronie rodziny, lub święconego w Święta Wielkanocne.

Głosy te dowodzą, iż na szerszym świecie, ludzie nie uświęcają pamiątki Narodzin i Zmartwychwstania Chrystusa, opychaniem żołądków uprzywilejowanymi na te dni a niestrawnymi potrawami, oraz, że nigdzie nie sadzą się tak, jak u nas, na obchody Świąt dorocznych, sutem zastawianiem stołów przeróżnymi ciastami, mięsami, bakaliami i t. p. rzeczami.

Jakkolwiek jednak uznanie należy się praktyczności wszelkiej, a i my uczyć się jej powinniśmy ze względu na trudne nasze warunki materyalne, to przecież dla praktyczności tej niewolno nam zatracać tradycyjnych zwyczajów naszych, łączących nas tak silnie z przeszłością, oraz dających nam miłe chwile wspomnień z lat dziecięcych, szczęśliwie spędzanych pod rodzinną strzechą w ciepłym domowym ognisku.

Komuż bowiem przy każdych zbliżających się Świątach Bożego Narodzenia, nie stoją w pamięci ubiegłe czasy młodości i ten dzień wigilijnej uczty, gdy z ukazaniem się na nie-

bie oczekiwanej niecierpliwie gwiazdki, zasiadaliśmy w gronie rodziny, domowników, a często i starych wiernych sług, przy stole zasłanym wonnym sianem i śnieżnym obrusem, a przystrojonym piramidami bakalii, owoców i pierników, pożądliwe spojrzenia dziatwy zciągających na siebie!... Któż nie przypomni sobie z rozrzwinięciem owego dzielenia się opłatkiem, przy którym życzone sobie, „dosiego roku,” lub przebaczano zastarzałe urazy i nieporozumienia!...

Komu nie jawi się żywo w pamięci droga postać matki Polki, rozlewającej własną ręką migdałową lub rybną polewkę i spoglądającej miłośnie na swą ukochaną gromadkę, z której każda jednostka, zacząwszy od własnych dzieci i męża, skończywszy na najmniejszym pastuszku w izbie czeladniej, zarówno w dniu tym pamięcią jej były otoczone!

Gdy jeszcze po skończonej uczcie rozwarły się drzwi przyległego pokoju, w którym ukazała się jaśniejąca światłem różnobarwnych świeczek choinka, i ozwała się rzewna melodia kolendy: „Bóg się rodzi, moc truchleje...”, wówczas uciecha dziatwy nie miała granic, a starsi do głębi serca wzruszeni, czuli nad sobą tę Moc Nadziemską i ogarniające ich bardziej, niż kiedykolwiek, ciepło serc rodzinnych.

Ta siła tradycyi jest tak wielką, iż współrodacy nasi, w najdalszych nawet zakątkach świata znajdujący się, w dniu tym myślą sercem łączą się z nami, w imię pamięci

narodowych zwyczajów, a głosy ich, nucące kolendę tam za oceanami, biegną wraz z naszymi do stóp Przedwiecznego.

Ileż to razy zdarza się, iż młody człowiek, szukający wiedzy lub kariery po za granicami rodzinnego kraju, pod wpływem oddalenia i nowoczesnych prądów obojętnie dla tego wszystkiego, co dotąd sercu jego było drogiem, a gdy rodzina z żalem wspomina oddalonego, zjawia się on sam wśród niej nie spodziewanie, pociągnięty siłą tradycyi, która przedstawiła mu, jak cudowny miraż, dziecięce lata, strzechę rodzinną, kraj ukochany i serca blizkich mu krwią, jednakowo dla niego bijące. I oto, jest wśród swoich, ciepłem ich serc ogrzany a pokrzepiony na duchu.

W myśl więc poety wołającego:

„Ale nie niszczenie przeszłości ołtarzy
Choć macie nowe, doskonalsze wzniesić!”

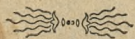
i my nie niszczyliśmy naszych dawnych narodowych zwyczajów, bo w nich się kryje głęboka myśl poszanowania pamiątek naszych i zacieśnienia związków rodzinnych, przez zgromadzanie się w uprzywilejowane dni Świąt dorocznych pod rodzinną strzechą, wszak bowiem dobrze żyjące i kochające się rodziny, tworzą uczciwie myślące społeczeństwo.

Zachowajmy tylko miarę w wydatkach naszych, nawet przy zakupywaniu drobiazgów choinkowych i t. p. dla naszych „Milusińskich,” a podzielmy je z tymi, których rodzice ledwie mogą na czarny chleb powszedni zapracować. Gdy zatem w dniu Świąt uroczystych cieszymy się rozradowaniem dziatwy

własnej, myślmy wówczas i o maleństwach naszych podwładnych. Niech i dla nich w izbie czeladniej zajaśnieje chwila szczęścia, oraz utrwalą w dziecinnych serduszkach ich i umysłach świętą pamiątkę Narodzin czy Zmartwychwstania Chrystusa.

Panie i Panienci dworów wiejskich! Wy, jasne promyki swych kółek rodzinnych, zaznaczcie dobrym czynem swoją działalność i z pomocą dobrych chęci Waszych, a nie wielkiego kosztu materyalnego, stwórzcie radość i uciechę w takich chwilach uroczystych i dziaćwie wiejskiej, w której sereach budzicie zawczasu dla siebie miłość i wdzięczność, na Waszej miłości oparte!

Ziemiańska M. R. S.



Trzy podróżniczki

BAJKA WIGILIJNA.



Magowie, przyciągnieci światłem Gwiazdy Betleemskiej, nie byli jedynymi wędrowcami, spieszącymi ku ubogiej mieścinie, aby powitać Dziecię, o którym posłyszeli, iż ma być Panem nad Pany i Królem nad wszystkie króle.

Wiatr, pieszczący wierzchołki drzew i gór niebotycznych, sunący przez doliny i po niezmierzonych powierzchniach, przekradający się przez wąwozy i przepaście niedostępne, rozniósł tę wieść daleko, aż na krańce świata. — Trzy niewiasty, które doskonale znały się na szemraniach wiatru i rozumiały dźwięki najłżejszego jego poddmuchu, aczkolwiek rade były zazwyczaj przebywać w tym otoczeniu wygody i zbytku, udały się w drogę bez zwłoki i szły chyżo, aby ich nikt nie uprzedził. Szły obojętne na światło dnia i na ciemności nocy, nieczule na piękności przebywanych okolic, na spokój niezmierzony przestworza, albo na zbierającą się burzę, szły bez przerwy, bez odpoczynku, niezmordowane w swym równym — a szybkim pochodzie.

Najwyższa, z pomiędzy trzech, szła środkiem. Czoło miała wyniosłe a spojrzenie zimne i dumne. Pewna siebie, prawie wyzywająca, ubrana była z wielkim przepychem, obwieszona świecidlami. Kieś, pełną złota, trzymała w ręce.

Nędzną w obec niej wydawała się jej towarzysząca z lewej strony. Sucha, koścista, w szatach barwy krwawej, ze spojrzeniem wiecznie niespokojnym, jakby czegoś szukającym, z ustami zciągniętymi goryczą i złością, często wysuwającym się językiem, wyrazem oblicza była do jałdowitej żmji podobna.

Trzecia, o której trudno byłoby orzec, czy była starsza, czy młodszą od swych towarzyszek, odziana w ciemne fałdy bezbarwnej tkaniny, nie była ani brzydka, ani piękna, oczy zaś jej, rzekłbyś szklane, bez blasku, ni wyrazu, patrzyły w dal, — nie nie widząc.

Najwyższa, idąc, mówiła wiele. Z emfazą wspominała o zamieszkiwanym przez siebie pałacu, o licznych powodzeniach swoich, bogactwach i klejnotach. Towarzyszka z lewej strony odpowiadała jej niekiedy urywanem słowem, zawsze pełnem jadu i zawiści. — Towarzyszka z prawej strony szła milcząca uparcie, niby senna.

Wędrowały już dosyć długo, kiedy wtem, wiatr, który je prowadził, uciekł nagle. Zatrzymały się w gaju oliwnym, tuż pod samem Betleem i namyślały się, którą wybrać drogę.

— Idźmy prosto — przemówiła najwyższa, — i tak trafimy.

— Jakaś ty zawsze pewna siebie! — docieła chuda.

Trzecia milczała.

— Wiecie co, — odezwała się znowu pierwsza, — przeszliśmy koło jakiegoś biedaka, na którego nawet nie zwróciliśmy uwagi... Możebyśmy go zapytały... Tacy ludzie zawsze wiedzą o tem, co do nich nie należy. Zresztą, zapłacę za objaśnienie.

Zawróciły kilka kroków i rzeczywiście znalazły starca, spiącego pod drzewem, przez które przezielał księżyc.

Najwyższa i najśmielsza zbudziła starca.

— Wstawaj, nędzarzu! — zawołała wyniosłe, — odpowiadaj prędko, bo mi w drogę spieszo.

Starzec obudził się, lecz nie poruszył się z miejsca, skierował tylko na niewiastę oczy tak przejmujące, że ją lęk na wskróś przeniknął, albowiem choć wyniosła, była bardzo tchórzliwa.

— Mam dość pieniędzy, — rzekła pojednawczo, — zapłacę, ile będziesz chciał.

— Żałowałabyś potem, a ja nie wiedziałbym, co z pieniędzmi uczynić...

— Przecież jesteś nędzarzem...

— Nie żebzę jednak.

— I cóż? czy zechcesz wreszcie wyciągnąć nas z kłopotu, czy nie? — zachnęła się zniecierpliwiona.

— Ależ chętnie. Nigdy nie ociagałem się z przyjściem w pomoc bliźniemu.

— Bliźniemu? co to znaczy: bliźniemu? — spytała niewiasta o szklanych oczach.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Niewiasta w bogatej i niewiasta w krwawej sukni jęły wypyttywać starca o pałac, w którym, wedle wieści, doszedł do nich, miał przyjść na świat król wielki i potężny.

— A może taki biedak, jak ty, nie słyszał jeszcze o tem? — zakończyła pierwsza.

Starzec uniósł głowę i rzekł głosem głębokim i wzruszonym:

— Słyszałem. Wieść radosna najwpierw doszła do maluczkich. Tak, zaiste, w Betleem narodził się Pan, Król niepotężny, który zapanuje nad całym światem i którego moc nie będzie miała granic, albowiem zwycięży Śmierć. Król, który nie będzie miał ani pałaców, ani dworaków, ani książąt, ani niewolników, Król który umiłuje nędzarzów i maluczkich i otworzy im królestwo Swoje...

— Bredził... szepnęły kobiety do siebie.

— I gdzie on mieszka? — spytała dumna głośno.

Starzec powstał, rękę wyciągnął i wskazał mieścinę pobliską.

— Idźcie przed siebie prosto. Skoro miniecie chatę najnędzniejszą, światłość nadziemska uderzy oczy wasze, dźwięki niebiańskie napelnia uszy wasze. Wtedy zatrzymajcie się. To tam.

Niewiasty poszły wskazaną drogą, lecz przed stajenką, gdzie spoczywał Zbawiciel, zawahały się.

— Prawda, że dźwięki, które słyszymy, zdają się z nieba pochodzić i ta jasność wśród nocy jest wielce dziwna... atoli gdzie jest pałac, gdzie tron i złotogłowie?... Gdzież książęta, paziowie i służebnicy? Ażaliż niema tu nikogo, prócz tych kilku nędznych niewolników?

O, ciemne niewiasty! pastuszków, którzy pierwsi przybieżeli pokłon oddać Panu, wzięły za niewolników.

Nagle, wiatr — przewodnik, zaszumił zeicha. Wrota stajenki otwarły się same i podróżniczki stanęły za progiem.

Zdumione, wyniosłe i zimne, nie raczyły pokłonić się, nie znalazły uśmiechu dla Dzieciątka słodkiego, ni spojrzenia tkliwego lub pobożnego westchnienia.

Zbawiciel skierował na nie swe spojrzenie, pełne niezmierzonego miłosierdzia i jak воск pod działaniem słońca, topniał dotychczasowy wyraz w oczach podróżniczek.

O, gdybyż ich była wielka moc Miłosierdzia zabiła w onej chwili!... gdybyż nie były powstały więcej, owe złe niewiasty, krzewicielki zawiści i bólów... Ale Duch ciemności, który czuwał nad niemi, przyszedł im z pomocą. Zebrały resztę sił i — uciekły.

Wśród cienia nocy poczęły czynić uwagi i uragać po swojemu.

— I to ma być ów wielki Król — w żłobku — na słomie? dobra bajka dla dzieci!...

— Może w tem są jakie czary?...

— A widziałas patryarchę, jak niby modlił się żarliwie?

— A matkę? jak skromnie spuszczała oczy...

— A tych ludzi w owczych skórach?... poklekali, jakby przed jakim objawieniem cudownem i całe barany poznośli Dziecku...

— Może należałoby dać o tem znać Wielkorządcy?...

Wyszły z Betleem i tak były zatopione w rozmowie, że nie spostrzegły starca, stojącego u skraju oliwnego lasu. Starzec nie był teraz sam. Młode dziewczę, cudnej, anielskiej urody, istna libijka biała, stało przy nim i śliczną główkę tuliło do jego ramienia.

Dziewczę spostrzegło podróżniczki i podniosło na starca pytające spojrzenie.

— Patrz, dziecię, — rzekł z dobrocią, — widzisz te trzy niewiasty: one zawsze wędrują ciemną drogą. Przyrzyj im się dobrze, abyś ich poznała i wczas uciekła przed

niemi, gdyby kiedy stanęły przy tobie. To krzewicielki zła, — gdy kogo pod władzę swą zagarną, stanie się nie-
szczęśliwym, albo nieszczeście się będzie w koło siebie. Patrz, ta najwyższa i najpiękniejsza, nie żyje dla nikogo, uznaje tylko siebie, to — *Pycha*. Ta druga, z jadowitem spojrzeniem, wiecznie szuka cudzego szczęścia, aby je zniszczyć, to *Zazdrość*. Trzecia, aczkolwiek przez swój spokój niezamącony, wydaje się nieszkodliwą, nawet dobrą, jest może najniebezpieczniejszą, najszkodliwszą, ona wszystko zatrzymałaby w ruchu i wystudziłaby wszystkie serca... To *Obojętność*.

Starzec mówił jeszcze długo. Wiedział on wiele, bardzo wiele... Imię jego było *Doświadczenie*. Młode dziewczę, słuchające mowy starca z pobożnie złożonemi rękoma i z jasnym, czystym spojrzeniem cudnych oczu, zwało się: *Niewinność*.

Starzec mówił a podróżniczki szły dalej i dalej... Niestety! dotychczas wędrują po świecie.

Zofia Seidlerowa.



Preludya Zakopańskie.



1.

Cisza w okolo, z łona ciszy
Wszepotała wyziera:
Człowiek natury oddech słyszy,
A swój własny zapiera.

2.

O góralu, twoje góry
Nie są wrażeń ci probierec,
Bo ty, dziecię gór, z natury
Nosisz w łonie górne serce.

Do tych czarów tyś z pokoleń
Przywykł latem, zimą, wiosną,
Ale biedne serca z dolin
Wciąż tu rosna, rosna, rosna!

3.

W górę wiedzie perć
Na niej czyha śmierć:
Nie lękaj się, dziecię Boże,
Śmierć cię zegnje — lecz nie zmoże;
Percią w górę dąż,
Pieśni z życiem wiąż!

Cóż, że zginiesz ty?
Schną po wszystkich łąz;
Lecz te pieśni, coś z przyrody,
Wysnuł w święte natchnień gody,
Te żyć będą wciąż...
Percią w górę dąż!

4.

Piosenka ta,
Co w piersi gra
I w dal po rosie dźwięczy,
Zrodziła się
W bolesnym śnie
I wykapała w tęczy,
I plynie w dal na skrzydłach zórz
Od snych gór — do snych mórz.

Ta serca cieśń,
Zkąd poszła pieśń —
To przestrzeń taka mała,
A strof jej spłot,
Gdy wzięła lot
W tysiącu piersi pała,
I koi ślad serdecznych burz
Od snych gór — do snych mórz,

Ból — zwykły los,
Pieśń — prosty głos,
Gdy się spoją w ogniwa,

To bólu jęk
Ujęty w dźwięk —
Lekarzem bólu bywa:
Lzę goi pieśń z łez pełnych kruz
Od sinych gór — do sinych mórz.

5.

„Paniez słodki,
Kup te szarotki,
Pęk taki świeży!”
„A ile za nie?”
„Nie drogo, panie,
Daj pięć halerzy!”

Zawsze ci sami!
Nadzieja mami,
Ufa i wierzy:
W dole, na szczycie,
Naraża życie
Za pięć halerzy!

6.

Hej, wesele róży z ostem
Pod mostem.
Zebralo się gości wiele,
Kapele:
Fletnią świerszcze, bąki basem
Nad lasem,
Jest i swatka pośród stadka,
Dzierlatka.
A tam, gdzie najniższy dołek
Fijołek
Mówił: „Taki ślub, to zakal...”
I płakał.

7.

Skala ślizka, dostęp trudny,
Tłum huculów, nędzny, brudny,
Łamie granit na gór stoku,
Dzień po dniu, i rok po roku,
I wciąż stacza go w wądoły
Za spleśniałych groszy płacę
Na kościoły,
Na pałace.
W dole ludzkie natchnienia
Z bezmyślnego kamienia
Już promienną myśl wykuli
By w gotyckie piał się różę;
A gdzieś w górze
Mrą huculi!
Zajdźcie w chaty swe, w doliny,
Klepiecie biedę, płódźcie syny,
Których losy znów poniosą
W góry głodno, chłodno, boso.
Bo od setek lat tysięcy
Ludzkość nie zdobyła więcej:
Grosz i pot,
Wieczny spłot!
Ten wykuje, tamten sprzedaje:
Granit-złoto na skał czołe,
A na dole
Granit-bieda.

8.

Płynie potok, płynie,
Po kamykach spada,
Zdało się dziewczynie
Że coś woda gada:
„Nie czekaj, aż minie,
„Otwórz serce wiosnie,
„Gdy zamkniesz, jak skrzynię
„Serce mchem porośnie.”

Prąd po skale zgrzyta,
Kamień nurtem porze,
Dziewczę już nie pyta,
Co prąd mówić może:
„Zdradziłaś mię wodo,
„Odpląć ci to, Boże,
„Iżes mnie tak młodo
„Wiodła na rozdroże!”

9.

Stoi chata pośród drzew, mileżąca,
Osłonięta od słót i gorąca.

Tak od świata ukryła się z cicha,
Tylko wonią lipową oddycha,
I wśród swoich chruścianych oplotów
Nie zna licznych, zewnętrznych loskotów,
Nie, co ludzi uzbraja na ludzi,
Ech uspionych jej ścian nie obudzi,
Nie nie wnuknie w jej koło czarowne,
Tylko pieśni ptaszące wymowne,
Tylko nieco konarów zieleni,
A od słońca li tyle promieni,
Ile między liśćmi się zmieści,
Zresztą nie... nie... nie... nie... krom boleści!

10.

Wyżyn stokrotka
Z granitów wieńca,
Zimna szarotka
Kwiat bez rumieńca.

Wyrwana z głazu
W grozie i strachu,
Kwiat bez wyrazu,
Kwiat bez zapachu.

Tyle w dolinie
Kwiatów i rojeń:
Cennym jedynie
Kwiat bez upojeń.

11.

Rąbiesz drzewo na opał:
Hej góralu, góralu,
Nie miej do losu żalu,
Że ci biedę wykopał.

Wszystkich ogrzeją drzewa,
Bo zwykle to koleje:
Ten się paląc je — grzeje,
Tamten rąbiąc — rozgrzewa.

12.

Czasem się w życiu zdarza
Motyw, jak na obrazku:
Na przyzbie u stolarza
Bawią się dzieci w piasku.

Siły życiem nie starte,
Śmiechy, gwary, piosenki...
Za niemi, o drzewi wsparte
Stoi wieko trumienki.

13.

Pająk przysiadł się do róży,
Róża z dąsem listki mruży.
Motyl zdala gdzieś się błąka,
Nie śmie, boi się pajaka.
Pająk wzdycha: „Spelnę wiernie,
Co rozkażesz!” Filuternie
Róża listki swe rozchyła:
„Mój pajaku, — puść motyla!”

14.

Nieszczęśliwy ja kamień,
Nie znam snów, ni omamień.
Ni rozkoszy pragnienia,
Nie mię nigdy nie zmienia.
Mrą rośliny i ptaki,
Jam jest zawsze jednaki,
Smutno pustemu lonu
Bez boleści, bez zgonu!

15.

Nad cmentarza żywopłotem
W wózku uplecionym z trzciny
Leży postać szyta złotem
Spiącej dzieciny.

Matka na grób idąc dziada,
Bierze z sobą lube dziecię
I bezwiednie w jedno składa
Próchno i kwiecie.

Na grób złoży wieniec świeży,
Młodą darń obleje łzami,

I do wózka znów pobieży
Z pocałunkami.

16.

Deszcz pada; chodź tu, książeczko,
Może ta chwilka
Ponad szumiącą w dal rzeczką
Da rymów kilka.

I z nich dowiedzą się ludzie,
Że gdy deszcz pada,
Zmokły poeta gździeś w budzie
Wiersze układa.

Lecz przedewszystkiem potrzeba
Jemu do tego,
Na zewnątrz choć skrawka nieba
W sobie — całego.

17.

O mozołów rozstroje,
Że masz w sobie sił dwoje,
Kaźda ciągnie na swoje!
Od conów tysiąca
Bieży rzesza łaknąca,
Gdzie dolina kwitnąca,
I powraca niebawem
Nieuniknionem prawem
Swej podwójnej istności,
Gwoli ducha potrzebie
Gdzieś na wirchów podniebie,
Byle na wysokości!
Idą wciąż ludzkie syny
Wiecznem prawem natury
Po chleb ciała w doliny,
Po chleb dla ducha — w góry.
O rozstroju mozoły,
Żeś zwierzęciem na polu,
A na polu z anioły!

18.

Księżyc z chmur, jak niedźwiedź z kniei
Wyszedł czynić samolówki,
Na gwiazd roje, złote mrówki,
Co w dal płyną po kolei.

Którą schwyce, to pochłonie,
Tak jak niedźwiedź smakosz właśnie:
Tłustem licem smacznie młśnie
I w chmur mateczniku tonie.

Gwiazdy w sieci zdradnych knowań
Płyną, jako sny człowiecze:
Ten się wyśni, tego zwlecze
Los w urwiska rozczerowań.

Więc o tajnej gwiazd podróży
Serce ludzkie śni boleśnie:
Która dojdzie, która zceźnie —
Z księgi własnych wspomnień wróży.

19.

Odczuwaj, oto mądrość cała:
Jedyna, która nie uśmierca:
Nie jedna myśl pogodna, biała
Zrodziła się z popędu serca.

Nie jedną myśl ponurą, czarną
Wypiaływały mózgu męty,
Bo ludzka mądrość zawsze marną,
A tylko wynik uczuć — święty.

20.

Dwie góry się miłowały,
Miłowały,
Choć od siebie zdala stały,
Zdala stały.

Chociaż w twardy granit wrosły,
Granit wrosły,
Zamieniały ciągle posły,
Ciągle posły.

Czy to jasny słońca promień,
Słońca promień,
Zakład wspólnych uświadomień,
Uświadomień.

Czy tęczowych blask opalów,
Blask opalów,
Jako łącznik wspólnych żalów,
Wspólnych żalów,

Gdy nie mogą uściśnieniem,
Uściśnieniem,
To się wspólnym łączą cieniem,
Łączą cieniem...

Choć nie pójda jedną grzędą,
Jedną grzędą,
Wiecznie się miłować będą,
Wiecznie będą.

21.

Grań gór na niebios tle tak się układa,
Jak w skalnych głoskach rzeźbione wyrazy,
A ta kronika świata opowiada:
Gdy ludzie milczą — będą mówić głązy.

Mówić i świadczyć swych szczytów rzeźbieniem
O wielkiej chwale po kamiennym trudzie,
Że niepożytość nie czczem urojeniem,
Bo głązy mówią — kiedy milczą ludzie.

I kłam zadają tym, co dumnie myśla,
Że stalną pięścią pasmo dziejów przęda,
I „mene tekel“ na błękiecie kręśla...
Gdy ludzie milczą — głązy mówić będą.

22.

Gdy zmudne piargi
Stopa przemierza—
Idę bez skargi,
Nutą pacierza
Dźwięczą mi wargi
A w sercu świeża
Bije otucha:
Bóg w górach słucha!

23.

Nabożeństwo niepożycie
Z góry na dół płynie:
„Sursum corda“ brzmi na szczycie,
„Amen“ gdzieś w dolinie.

24.

Zakotłowało się w rzecze:
To kozica chłepce;
Stoi góral przy dzieweczce
I szepece.
Szeptaj, szeptaj młody gazdo
Gdzieś przy skalnej ścianie,
Będzie wiosną nowe gniazdo
Bocianie.

To jest cała twoja dola
To kochanie młode;
Przyjdzie głód na skalne pola
W zagrode.

Rola skalna bezrozumna,
Zrosisz ją swym potem,
Będzie zimą nowa trumna
Pod plotem.

A nim jeleni ślad ku rzecze
Po śniegu wydepce,
Stanie góral przy dzieweczce
I szepece....

25.

Granitów się kobierce w takie wiążą cienie
I w takich się rysunków wzorują kontury,
Jako na naszych łąkach jaskry i złoćenie,
Ale gdy tam uroki marzącej natury —
Tu groza, rozłamana na drobne kamienie.

Bo urok wspólny z grozą sen życia układa
To są cienie i światła na jednym obrazie;
Gdy hasłem ludzkich istnień „evoe“ i „biada!“
Płasaj po niw kobiercu — a kłękaj na głazie.

26.

Na szczycie stanął i z wyżyny
Swą stopą stracił, jak lawiny
Kamienie w ludzkie gdzieś doliny
Ahasver.

Pod siebie spojrzął — z urąganiem,
Nad siebie spojrzął — z zapytaniem,
Z wieczystym wiary rozłamaniem
Ahasver.

Od ognisk szedł, i od kądzieli,
U ludzi był, lecz nie widzieli,
Choć raz w każdego z nich się wcieli
Ahasver.

I dalej poszedł w mgliste rano,
I dalej szedł, jak powiedziano,
I pójdzie wiecznie, bo mu miano
Ahasver!

Józef Kościelski.

Zakopane, 1902.



Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ.

(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

Pod wrażeniem tego artykułu i rozmowy o nim z Solivą napisał Chopin w tydzień później w liście do Wojciechowskiego, co następuje: „W jednym artykule półlarkusowym „Gazety Warszawskiej“ musi być dosyć przycinków dla Elsnera, kiedy Soliva mu powiedział, że gdyby nie to, że ma elewki na wystąpieniu (a była i Konstancja Gładkowska w ich liczbie) i boi się szukać zaczepki, samby odpisał. Trudno dać ci wyobrażenie w krótkości o tem wszystkim; żebym mógł, tobym ci gazety posłał, abys rzecz zrozumiał należycie. Ale że mądrej głowie dość dwie słowie, więc ci tak lekko napomknę, o co idzie. Po moich koncertach synęło się mnóstwo recenzji. Szczególniej w „Kuryerze Polskim“, jakkolwiek już przesadzonemi tchnęły pochwałami, jednakże jeszcze znieść takowe można było. „Dziennik urzędowy“¹⁾ także kilka stronnie poświęcił moim panegirynom, ale między innymi w jednym ze swych numerów takie głupstwa mimo najlepszej chęci poklecił, żem był w desperacyi do chwili, w której przeczytałem odpowiedź w „Gazecie Polskiej“, jak najsprawiedliwiej odejmującą mi to, co tamten w egzageracyi przydał. Trzeba ci wiedzieć, że w tym artykule „Dziennik urzędowy“ utrzymuje: iż jak Mozartem Niemcy, tak Polacy mną się kiedyś szczyścić będą. Nonsens bardzo jasny! Lecz, co więcej, powiada dalej: że gdybym się był dostał w ręce jakiego pedanta albo Rossinisty (co jest głupiem wyrażeniem), nie byłbym nigdy tem, czem jestem. Jakkolwiek nieczem nie jestem, przecie ma rację, że gdybym był się od Elsnera nie uczył, który mi umiał do przekonania trafić, pewnobym mniej jeszcze umiał, niż dzisiaj umiem. Ten przycinek *Rossinista* i wy-

¹⁾ „Powszechny Dziennik krajowy.“

²⁾ Należy się domyslać: Kurpińskiego, autora „Cecylii Piaseczyńskiej.“

chwalanie obok Elsnera²⁾, który już (niby) ucznia wystawił,“ oburzyło wiesz kogo³⁾, tak da-lece, że w „Gazecie Warszawskiej“ zacząwszy niby od komedii „Przyjaciele“ Fredry, a skończywszy na operze „Hrabia Ory“, w środku uderza na to: zkład ma należeć się wdzięczność Esnerowi, kiedy on z rękawa przecież uczniami sypać nie będzie i pokazał obok mnie (trzeba ci wiedzieć, że na drugim moim koncercie grano „Symfonię“ Nowakowskiego) dodając, iż z piasku bieża sam dyabeł nie ukreśli! Elsner przed 35 laty napisał „Kwartet“, który ma na tytule: *dans le meilleur goût Polonais*, dodatek naówczas przez edytora uczyniony z powodu „Menueta“ polskiego. Wyśmiewa się więc recenzja dzisiaj z tego „Kwartetu“, nie wymieniając jednak autora. Soliva powiada, że temi samemi wyrazami wyśmiałyby się z „Cecylii“⁴⁾, tem bardziej, że w tym artykule, zawsze z miłością i jak najdelikatniej o mnie mówiąc, kilka nosów mi daje i radzi, żebym się Rossiniemu przysłuchiwał, ale go *nie przepisywał*. Radę tę daje mi w skutek tamtego artykułu, który powiedział, że mam dużo oryginalności, czemu „Gazeta Warszawska“ nie chce zresztą przeczyć.“

Pomimo względu na mające wkrótce wystąpić „elewki“, Soliva nie wytrzymał i napisał replikę. W replice tej, pełnej werwy i prawdziwie włoskiego temperamentu, ujął się za Elsnerem i Nowakowskim, zbił niektóre twierdzenia autorów artykułu „O artykułach amatorskich“ (przyczem polemikę swoją osolił dużą dozą sarkazmu), a w zakończeniu skreślił dowcipną apostrofę do Chopina, w której wszystkie teorie pp. X. a. c. s. p. logicznie i złośliwie doprowadził *ad absurdum*.

Replika ta, zatytułowana „Do pana T., autora artykułu o Operze Rossiniego „Hrabia Ory“,“ ukazała się dnia 21-go kwietnia 1830 r. w n-rze 107-ym „Gazety Warszawskiej“, a już jej pierwszy frazes, godzący rykoszetem w autorów artykułu „O artykułach amatorskich“, był nasiąkły jadowitą ironią.

— Nie ganię WPanu, bynajmniej tego, że nie czytałeś dzieła o muzyce, napisanego przez Pana Imbert de Lapha-lèque; mogłeś śmiało objawić swe zdanie o „Hrabi Orym“ Rossiniego, ile że wiele osób równego jest z nim przekonania, iż geniusz tego kompozytora zdaje się słabnąć od chwili, jak zaczął pisać opery francuskie.

Ale co innego jest objawić śmiało swe zdanie o danem dziele artystycznym, a co innege używać „tonu twierdzącego, który nie przystoi chcącemu rozprawiać o przedmiotach gustu.“ A właśnie i ów pan T., któremu się nie podobał „Hrabia Ory“ i pp. X. a. c. s. p., którzy stanęli w obronie tej opery, użyli takiego tonu twierdzącego, jakby już od ich wyroku nie było apelacyi do żadnej wyższej instancyi. Za tę zbytnią pewność siebie, oraz za przycinki pod adresem Elsnera i Nowakowskiego dostała się „autorom artykułu pięcio-częściowego (Quintetto)“ następująca ad-monicya:

„Patrz WPan na ich ton dyktatorski i decydujący, na osobistości, którymi artykuł ten jest napelniony, na żarćki nie na swoim miejscu, i sądz, jak dalece skromnymi są ci, którzy wyrzucając ci śmiałość, sami usprawiedliwiają takową. Tam to mówią ci, ni ztąd, ni zowąd, o jakiejś

¹⁾ Z „Cecylii Piaseczyńskiej“, świeżo wystawionej opery Kurpińskiego.

muzyce słyszanej w Moskwie z zarumienieniem, jakoby w najlepszym guście polskim napisanej, a nie mówią ani słowa o dziełach narodowych napisanych w Warszawie w guście Rossiniego i kompanii! Tam to bez litości pogrzebiają karczemnem przysłowiem *z piasku bicia i dyabeł nie ukreści* młodego ucznia, autora opery, która się nie udała, a nie przemilczają o innych operach Polskich równemu uległych losowi, do których sprawiedliwiej może toż przysłowie zastosować się dało. Przyznaj Wpan, że panowie ci są lub nadto grzeczni lub nie dość rozsądni.

W innem miejscu utrzymują ciż Ichmościowie, że Francuzi są ostatecznymi sędziami w muzyce i oni kierować powinni jego zdaniem, a udają, jakoby nie wiedzieli o tem, że sam Stendhal w życiu Rossiniego powtórzył odnośne zdanie wszystkich narodów, utrzymujących, że we Francji o każdej rzeczy sądzą dobrze, wyjawszy o muzyce, i twierdził, że to, co Rousseau w tym przedmiocie napisał, jest dotychczas świeże i pełne najwyższej prawdy. Ale byłoby pół biedy, gdyby nasi piszący ograniczyli się byli tylko na wspomnianych pisarzach; ale nie: wyjeżdżają z Homerem dla dowiedzenia ci, że wyrzekłeś niedorzeczność, śmiejąc z wielu innymi nad „Hrabiego Ory“ przenosić „Srokę“, „Cyrukla“, „Włoszkę“, i nie wiem na jaką jeszcze karę by cię skazał ten pięcioliterowy trybunał, gdybyś „Zelmire“ lub „Otella“ przeniósł nad „Wilhelma Tella“, a to wszystko dlatego, że Pan Imbert de Laphalèque nie jest twojego zdania. Co myślisz Wpan o podobnych wyrokach? Gdyby tym Ichmościom podobalo się utrzymywać, że Rossini udał się do Francji dla wykształcenia swego gustu i stylu, gotowiby przytoczyć na dowód swego twierdzenia... Platona. Co tu odpowiedzieć na tak gruntowne argumenta? Oto, co następuje:

Może Panowie X. a. c. s. p. którzy równie, jak ja, jak Laphalèque, jak Stendhal i wielu innych, mylić się możecie, czyliż sądzicie, że wasz sposób widzenia powinien być moim, i że dlatego się mylę, że nie myślę tak, jak wy? Wamże tylko samym gadać wolno? Jakie macie prawo nakazywać milczenie tym, którzy się waszym wyroczniom nie poddali? Proście nas w imieniu wszystkich talentów oczyszczonych, żebyśmy nie chwalili, nie krytykowali, jednym słowem, żebyśmy nie robili tego, co wy robicie? Mówicie nam tonem krzykliwym i głośnym, jak trąbka pocztyniowska, że *w dzisiejszych operach śpiewy odkryte nie są głównym efektem całości*, nie wykazując nam, na czem to zdanie opieracie. Zdaje się, że podług was efekt opery polega na hałasie i na tem wszystkim, co może pokryć i zagłuszyć śpiewy. Jeżeli takie jest wasze mniemanie, winszuję wam tego, i spodziewam się, że dyrektorowie teatrów nie omieszkają korzystać z waszego ekonomicznego planu. Z tem wszystkim, zanim w właściwym świetle rozwiniecie tę lekceważną naukę, która bodaj was laurami pokryła, życzylibyśmy sobie, ażebyście chcieli nam wytłómaczyć, czem się to dzieje, że to, co po wszystkich krajach sprawiało zwykle wielkie i prawdziwe wrażenie, podług was właśnie żadnego nie sprawia w Warszawie. Po gruntownem rozwiązaniu tego zapytania, i po wyprowadzeniu z niego skutków, odpowiadających waszym zasadom, będziecie mogli tonem mocniejszym jeszcze wołać w kwintecie naprzykład, jak następuje:

Mości Panowie Artyści! Mości panowie Amatorowie! Mości Panowie Uczniowie! Udajcie się do nas, chodźcie do naszej szkoły! My was nauczymy pisać hałaśliwą muzykę. Patrzcie, jak można przeszkakiwać aplikaturę (demanecher) na skrzypcach, uważając na te *rum-rum* kontrabasów, na te przykre świstanie małych fletów, przysłuchując się tym uderzeniom piorunów za pomocą wielkich kotłów, tym odgłosom bębnowym i tympanów, tym trąbom i trombonom, tym *pizzicato* instrumentów dętych: to mi jest wyśmienite! Wstrzymaj się, Chopenie, nie jedź za granicę marnować drogiego czasu, napróżno szukałbyś tam przedmiotów efektownych, usłyszysz tam jedynie śpiewy odkryte, dobre tylko dla uszu niewprawnych, które *razą czyli raczej szcztukują słuch i nie są głównym efektem całości*; ale co innego jest w naszej szkole: my cię nauczymy gramatyki każdego instrumentu, my za pokarm każemy ci czytać chóry i wszystkie finały Oper Rossiniego, w nich albowiem kompozytor ten przedewszystkiem celuje, a gdy przez rozliczne kombinacje harmoniczne, nauczysz się zakrywać śpiew, i gdy cię Bóg natchnie, starać się będziemy jeszcze i wtenczas osłabiać tkliwe wrażenia, jakiebyś mógł sprawić, przez ciągłe użycie rozmaitych instrumentów do tego służących. Rozprawiać ci będziemy o Horacyuszu, Mickiewiczu, Krasińskim, o „Myszeidzie“, „Monachomachii“, „Wallenrodzie“, o Homerze, o „Gazetach niemieckich“ i o „Chłopcu studukatowym“, a kiedy uczynisz z zadowoleniem naszem w naszej metodzie postępy, wtenczas

mówić z tobą będziemy o Panu Impert de Laphalèque i o Panu Stendhalu, bo bez tej dozy erudycji nigdy nie zdołasz nabyć znajomości muzyki do tego stopnia, żeby cię wielbili twoi mistrzowie, i dziwiła się nad dziełami twemi potomność!!!“

Artykuł ten Solivy był ostatniem echem dwóch pierwszych koncertów Chopina w Warszawie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBRAZKI Z ŻYCIA Henryka Sienkiewicza.



II.

OSTATNI UKŁON.

Nie było takiej rzeczy jego, którejby nie czytała, nie było studyum, recenzji, wzmianki o nim, lub jego dziełach, którejby nie znała; do większych utworów powracała nawet po kilka razy, utrzymując, że sprawiały jej tem większą rozkosz, im częściej je odczytuje.

— To zupełnie tak — mówiła, — jak w galeriach obrazów; człowiek przechodzi wzdłuż ścian, zawieszonych mnóstwem płócien i rzuca okiem tylko na największe, na te, które chwytają wzrok swoim kolorytem, najjaskrawszą plamą, najwydatniejszą figurą jedną, a potem, gdy powraca, wydaje mu się, że wcale tego nie widział, że tak wiele przeoczył, pominał i zaczyna powtórnie przeglądać uważniej i pilniej; nareszcie za trzecim, czwartym, dziesiątym razem zatrzymuje się w pewnych miejscach tylko i przypatruje jednemu jakiegoś arcydziełu, studjuje je z rozważą, rozkoszuje się spokojnie, używa, nie tylko jak znawca, ale jak sybaryta.

Powracała do jego książek, jak do galerii sztuki; wiedziała gdzie, w którym miejscu znaleźć można scenę najefektowniejszą, ustęp najpiękniejszy i nieomal z zamkniętymi oczyma byłaby potrafiła otworzyć dany tom, aby na wrywki trafić na ulubiony rozdział, wskazać stronicę, na której znajdowały się najcenniejsze klejnoty jego myśli i stylu.

Zachwycała się jego dziełami i umiała mówić o nich nie tylko rozumnie, ale i z tym niepospolitym wdziękiem kobiety inteligentnej a subtelnej, która się zna na koronkach i brylantach myślowych, na filigranach uczucia, na cyzelunku słowa.

— Bo pani jest entuzjastką! — odpowiadano jej często z pobłażliwym uśmiechem snobów, dla których niema nic w dzisiejszej sztuce i literaturze, nad czem nie trzebaby z politowaniem kiwać głową i coby warte było czegoś więcej, jak ziewnięcia.

— Przypuśćmy, że jestem nią — mówiła, — to i cóż?... czy to co złego?... Proszę mi wytłómaczyć, o ile apatya jest wyższą od entuzjazmu i w czem może być szkodliwszą nawet zbytnia wrażliwość umysłu i serca — byle nie samych nerwów — na rzeczy prawdziwie piękne, dobre, wzniosłe, szlachetne, od tej zupełnej nieczułości, która się lubi nazywać równowagą duszy i krytycyzmu.

— W tem, że łatwo przecenia ludzi i rzeczy, które na to nie zasługują, — tłóaczono jej, ale ten argument odpierała nowem zapytaniem:

— A powiedzcie mi, co jest lepszem i sprawiedliwszem, przeceniać czy niedoceniać?... Zapewne, że jedno i drugie jest niewłaściwem, tylko że przy przecenianiu uznaje się zawsze pewną wartość, którą ktoś czy coś rzeczywiście posiada i którą mu się pozostawia,

nie pokrzywdzając nikogo, a przy niedocenianiu odmawia nawet tego, co się najsluszniej komu należy. Co do mnie, wolę z czystym sumieniem dodać nad miarę, aniżeli ujmować!...

Nie rozumiejąc tego, aby między dziełem a twórcą, między talentem a indywidualnością mogło nie być najściślejszego związku, odtwarzała sobie w wyobraźni autora z jego książek i na kartach jej doszukiwała się odcisku jego duchowej fizyognomii.

Mówiła sobie:

— Jaki on musiał być smutny i wzruszony, kiedy to pisał, albo: jak on musiał kochać i cierpieć, kiedy umie tak żywo, tak gorąco malować miłość i cierpienia ludzkiego serca!...

— „Cierpienia wieszczą w chwili tworzenia, to bóle matki w chwili porodu, ile wlał życia do swego płodu, tyle wziął życia z swego istnienia; ile on pieśni dla nas utworzył, o tyle kroków grób swój przysporzył!“ — powtarzała z zapalem i głębokim współczuciem ustęp z „Farysa“, przekonana najmocniej, że każdy twórca musi, jak: „Pelikan rozrywać piersi, by krwi za cenę złota dostarczyć.“

Kiedy ją zapewniano, że dzisiejsze pokolenie twórców różni się tem właśnie od rozgorzałych romantyków, iż odlewa swoje dzieła na zimno, jak z gipsu, lepi je z gliny lub z wosku, o ile nie z gorszego jeszcze materiału, który palce pewnych mistrzów nie tylko wala, ale i zapachem specjalnym błota zaprawia, wzdychała z ubolewaniem, kręciła główką i odpowiadała:

— Może, ale nie wszyscy; on z pewnością nie!... to się przecież odczuwa przy czytaniu.

Literatura i sztuka stanowiły dla niej coś tak wysokiego, jak gwiazdy, do których zwyczajnym śmiertelnikom wolno sięgać wzrokiem i myślą, podziwiać je i uwielbiać, ale ku którym zbliżyć się niepodobna.

Każdy poeta i artysta był w jej oczach jakąś istotą niezwykłą, namaszczoną przez Boga, a wszyscy razem stanowili jakby uprzywilejowaną kastę kapłanów, w której tylko stopnie talentu zaznaczały różnicę ich godności i dostojenstwa.

U samego szczytu stali sami wybrańcy, najbliżsi nieba i najwięcej jego odbłasku mający na czole, najwięcej natchnienia biorący u samego źródła geniuszów.

Tam właśnie stał on; ten największy, najulubieńszy, najwyższej czci i uwielbienia godny; patrzyła w niego zdala, jak się patrzy w słońce na niebie z jakiejś ciemnicy, do której jasne promienie zchodzą łaskawie i przeciągają świetlane pasma, niby drogocenne, złotolite pasy, których nie wolno dotykać, ale od których oczy jaśnieją.

I w tych promieniach pławi się dusza ludzka i orzeźwia, jaśnieje, nasiąka niemi, jak te kryształ, co chłona za dnia światło słoneczne, a potem w ciemności świecą.

Gwebry nie tylko czciły i uwielbiały słońce, ale i kochały je za to właśnie...

Ona była takim Gwebrem jego talentu.

Nie śmiała zamarzyć nawet, aby się do niego zbliżyć kiedy, aby mu wyrazić swój zachwyt, swoją wdzięczność, swój podziw.

Zkądże?... jakim prawem?... z jakiego tytułu?...

Dzieliła ją z nim, w jej przekonaniu, cała przestrzeń między ziemią a niebem, a jednak byłaby dała bardzo dużo, aby mieć to szczególne poznanie go, zbliżenia się choć na chwilę i dotknięcia jego ręki, — tej, która tworzyła te wszystkie dzieła na podziw świata, a na jego chlubę.

Zdawało jej się, że byłaby wracała potem do codziennej szarzyzny swego życia i otoczenia, jak skąpiana w blasku.

Wyidealizowała sobie tak tę niedościgłą chwilę, że śniła o niej, jak o czemś, co mogłoby być tylko cudem, nieprawdopodobieństwem.

stwem, jakąś nadzwyczajną i niezasłużoną łaską losu dla niej.

Miała przyjaciółkę, której tego jednego zazdrościła, że go znała zdaleka, że go spotykała przypadkiem i rozmawiała z nim.

— Jakaś ty szczęśliwa! — mówiła do niej, — jabym nie umiała dwóch słów do niego przemówić. Czuję, żeby mnie w gardle zaraz ścisnęło, nogiby się podemną zachwiały i wiesz?... nie wiem, czybym nie zemdląca.

— Dzieciństwo!... przecież to człowiek, jak każdy inny — tłumaczyła jej przyjaciółka, — nawetby ci nie dał uczuć swojej wielkości.

— To nie, ale jabym ją odczuła!... *Les grandeurs sont comme les parfums, ceux qui les portent ne les sentent pas*, ale my, zwyczajni ludzie dostajemy zawrotu głowy.

— Nie przesadzaj, moja droga!...

— Cóż zrobić, kiedy tak jest!... ja się tylko tobie dziwię, żeś ty się odważyła z nim rozmawiać.

— Dlaczego?

— Bo co mu może powiedzieć taka pospolita dusza, jak moja, albo twoja?... wołałabym głosu jego nigdy nie słyszeć, aniżeli zamienić z nim kilka banalnych wyrazów. To zupełnie, jakby ktoś z poświęcanego kielicha pił piwo!... nie, tego sobie nie wyobrażam.

— Et, egzaltujesz się!

— Może.

Nie mówiły więcej o tem, bo się nie mogły porozumieć, a nieporozumienie na tym punkcie wprowadzało rozdzźwięk do ich stosunku.

Przyszła nareszcie chwila, w której ten wysoki kult jej dla wielkiego pisarza i artysty dosięgnął szczytu.

Spółceństwo chciało z przepelnionego serca powiedzieć mu „Bóg zapłać!...” chciało go uwiecznić publicznie, uczcić i wynagrodzić; zbliżył się jego jubileusz.

Kwiat narodu otoczył go żywym wieńcem, na obchód jubileuszowy zdaleka i zblizka zebrał się weselny orszak. By dostojnie i radośnie święcić jego srebrne gody i pokłonić mu się z hołdem, jak królewiczowi myśli twórczej i wielkiemu artyście, bo grał na sercach ludzkich całe ćwierć wieku.

I przy tym akcie uroczystym ona była z tylu innymi, w tej wspaniałej sali zapelnionej tłumem, który z duszą w oczach, z sercem na ustach przypatrywał się i słuchał w podniosłym nastroju, jak go czczono i jak on za te hołdy dziękuje.

Nie wiedziała sama, z kąd się zdobyła na taką śmiałość, aby oderwać od piersi falującą wzruszeniem bukiet kwiatów i rzucić mu pod nogi, gdy pełen chwały i splendoru schodził z estrady po skończonej uroczystości, jak tryumfator, uginający się pod ciężarem własnych laurów.

Nie zauważył nawet tego hołdu entuzjastycznej wielbicielki; przeszedł mimo, odprowadzany przez starostów srebrnego wesela swego, na ziemi zostały skromne kwiaty, a na estradzie lawina wieńców, darów i zaszczytnych odznak...

Gdy powróciła do domu z tej uczty duchowej, była jak upojona.

W oczach wirowały jej kwiaty, gwiazdy, brylantowe błyski, w uszach brzmiał matowy, spokojny, ale jak głębokim nurtem uczucia płynący głos jego, którym z prostotą, właściwą prawdziwie wysokim duszom, dziękuje za wieńce dożynkowy z własnego posiewu.

— Nawet moich kwiatków nie zauważył! — mówiła z żalem, — ale to i lepiej. Ja nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby to był zobaczył; byłabym się chyba spaliła ze wstydu, zem taką marną ofiarą chciała go wynagrodzić i ośmieliła się równać z tymi, co mu w imieniu narodu wieńce do nóg kładli. Ale tak mnie coś zchwyciło, tak porwało, że w tej chwili byłabym własne serce wyrwała z piersi i rzuciła pod jego stopy!...

Przez cały dzień płonęły jej rumieńce na

twarzy i roziskrzały się źrenice, gdy przypominała sobie wszystkie szczegóły jubileuszu.

— Masz gorączkę znowu — upominała przyjaciółka, — nie przejmuj się tak zaraz po swojemu; wiesz, żeś powinna uważać na siebie!... z twojem zdrowiem nie powinno się nawet wchodzić w taki tłok i narażać na zaziębienie.

— Et, głupstwo! — odpowiedziała z zapalem entuzjastki, zapominającej o sobie dla wrażenia, co wstrząsa całą duszą i pozostawia w niej rozkoszny dreszcz zachwytu na resztę życia; — taka jedna chwila więcej warta, niż zdrowie. To przecież owiewa, jak wiosna, jak maj, jak fala woni, po której każda myśl pachnie potem lata cała!...

Zamysliła się i rozmawiała w duchu z sobą o czemś bardzo miłym i pogodnym, jak niebo wiosenne, choć na ziemi był grudzień i śniegi.

— Wiesz?... — odezwała się w zautaniu do przyjaciółki; — wiesz, o czem teraz marzę?... nie zgadniesz, jestem pewna!

— Może i zgaduję; chciałabyś być kiedy żoną takiego męża, którego by tak czczono, obsypywano wieńcami i sławiono, jak bożyszczem...

Oburzyła się na podobnie zuchwałe przypuszczenie.

— Wiedziałam, że nie zgadniesz; ani śniłam o tem. To za wielkie szczęście, za które kobieta musiałaby zapłacić duszą chyba anioła!... Nie, ja marzę o czemś mniejszem, malutkiem, ale także nieprawdopodobnem; marzę o tem, żebym go kiedy spotkała samego, żeby popatrzył na mnie i zwrócił uwagę, żeby mi spojrzął w oczy i wyczytał w nich, co czuję, co myślę o nim, ile mam dla niego czci, zachwytu, podziwu, wdzięczności, i... żeby mi się wtedy tylko uklonił. Nic więcej, tylko uklonił raz jeden i przeszedł!...

— I nie więcej?...

— Nie!... toby mi wystarczyło. A na co więcej?... byłabym taka szczęśliwa i taka wdzięczna mu za ten ukłon. Ale niechby to zrobił sam, instynktownie, z dobrej woli, poznawszy po moich oczach, jak wielbię jego talent.

— Oj, marzycielko, marzycielko! — śmiała się przyjaciółka, całując ją w rozpalone czoło — i to dla ciebie byłoby szczęściem?... Poczekaj, przy pierwszej sposobności, gdy się z nim spotkam, powiem mu, że jest taka zapalona wielbicielka, taka entuzjastka z przewróconą główką, która marzy o jego ukłonie...

— Ani się waż! — zawołała, rumieniąc się jeszcze mocniej; — daj mi słowo, że tego nie zrobisz!... Nie chcę, abyś mnie przed nim ośmieszała. Jeżeli to jest taka niedorzeczność, to Pan Bóg do tego nie dopuści, ale...

I utonęła znowu w swoich myślach uśmiechniętych.

* * *

W kilka miesięcy później przeciągał jedną z ulic miejskich pogrzyb, zwykłą drogą ku cmentarzowi.

Wiosna była, ale ta wiosna, w której biedne wątłe kwiaty ludzkie wędzną w blaskach słońca.

Na karawanie chwiała się trumna, pokryta kilkoma wieńcami z białych róż i palmowych liści.

Wieźli ją na cmentarz w trumnie metalowej z krzyżem złożonym.

Za karawanem szła rodzina w żałobie, z głowami smutnie ku ziemi spuszczonej i przyjaciółka z oczyma od łez czerwionymi.

Na skrócie ulicy spotkał kondukt pogrzebowy Sienkiewicz; zatrzymał się, spojrzął na krzyż, na księdza, na trumnę i machinalnie zdjął kapelusz z głowy, oddając ostatni ukłon majestatowi śmierci i godłu wiary.

Nie wiedział nawet, kogo wiozą w tej trumnie.

M. Gawalewicz.

Z twórczości powieściowej Albionu.



III.

Przejdźmy ku weselszym nastrojom. Przejdźmy ku tej dziedzinie twórczości powieściowej, która nie mając ściśle określonych celów socjalnych, nie dążąc bezpośrednio do reform i przemian, pozbawiona tendencyjności, służy ku rozrywce i uprzyjemnieniu życia.

P. Henryk Harland, jak sądzę, Amerykanin od czasu do czasu puszcza w świat, na pięknym papierze, w ładnej okładce dowcipną, oryginalną i *last not least* zwykle zabawną bardzo powieść i to bez pretensyi, bez wysiłku, jakby dla własnej przyjemności. Ma on jeszcze jedną niepowszednią dziś zaletę: umie delikatnie i wstrzemięźliwie opisywać sytuacje, nadające się do drastycznych, drażliwych obrazów, do których siłą się przyzwyczaić nas Francuzi, albo bardzo niezgrabnie Niemcy. Tylko, że u p. Harlanda z takimi obrazami nie spotykamy się nigdy, ani w jego ostatnich nowelach.

Młoda, ładna Angielka, z zawodu malarka, przybywa do Paryża dla ukończenia studyów; wyczytawszy adres *d'un hôtel très respectable rue Jacob* *), każe się tam zawieźć i nieświadomie wpada w sam środek paryskiej cygany. Niewinna, „jak gołąb,” ma złote serce, istnienia złego nie przypuszcza, ani go nie widzi, a przytem językiem francuskim włada bardzo słabo. „Mademoiselle Miss” jak ją przeważali współmieszkańcy pensionu, połowy, ba! czwartej części tego, co koło niej mówią, nie rozumie, resztę kładzie na karb nieznaną jej francuzkich zwyczajów i obyczajów i ztąd zawikłania najkomiczniejsze w świecie.

W pierwszych dniach wszyscy naokół myślą, że ona udaje naiwną, ale nie mogąc się o tem przekonać, przyjmują fakt do wiadomości, biorą ją na zęby i drwią z niej, co się wlezie. Ona przyjmuje wszystko z tym samym nie całkiem świadomym, ale zawsze łagodnym uśmiechem, stara się przy każdej sposobności oddać usługę, komu tylko może i z wolna, stopniowo, lecz stale czaruje wszystkich urokiem swej niewinności i dobroci.

Raptem grasująca wówczas w Paryżu influenza czepia się domu, w którym mieszka Angielka i otaczający ją „cyganie.” Odrzuca wszystkie gnieźdzące się tam gryzетки rozlatują się, jak spłoszone ptaki, jedna tylko „Mademoiselle Miss” zostaje sama wśród chorych artystów, nie opuszcza ich dniem i nocą, opiekuje się nimi z anielską dobrocią i niestrudzoną siostrą miłosierdzia.

W parę tygodni później, otrzymawszy patent nauczycielki, Angielka wyjeżdża z powrotem do swej ojczyzny. Wszyscy towarzysze odprowadzają ją na kolej i żegnają ze szczerem wzruszeniem i nieklamana sympatją, a gdy pociąg zniknął z ich oczu, jeden z szalonego grona powiada do towarzyszy: „Aż mi wstyd pomyśleć, żeśmy mogli choć na chwilę wziąć tego anioła za coś należącego do naszej lajdackiej bandy.” Wyborna ilustracja uszła-

*) „Mademoiselle Miss and other stones.” London, Heinemann.

chetniającego wpływu *des ewig Weiblichen*, na tych z pośród męzkiej połowy rodzaju ludzkiego, którzy pomimo wszelkich pozorów, nie zatarcili jeszcze w sobie szlachetnych, lepszych pierwiastków.

W innym rodzaju, ale nie mniej zabawną jest nowela o „marnotrawnym ojcu,” Amerykaninie, od lat trzydziestu osiadłym na londyńskim bruku. Gdy mu przyjezdni rodacy wyrzucają brak patriotyizmu, wynarodowienie się, odpowiada, że przybywający do Anglii ziomkowie przywożą z sobą z za morza jedynie tylko złe maniere. Na prośbę zmarłej przed ćwierć wiekiem żony, jedynaka swego powierzył jej rodzinie, aby go wychowała na „prawdziwego Amerykanina.” I raptem, ku okropnemu przerażeniu ojca, przyjeżdża do Londynu ten „prawdziwy Amerykanin.” Nie komiczniejszego nad bezustanne zderzenia tych obu kontrastujących z sobą sprzecznych i w ciągłej kolizji będących charakterów. Letkiewicz i próżniak a pozujący na idealistę ojciec, ma tylko jeden obowiązek: używać życia. Syn *a business-man*, szuka jedynie praktycznej strony życia, nad nią się jedynie zastanawia, ją chce poznać, zgłębić, zbadać, by to, co uzna za korzystne i dodatnie, zastosować potem u siebie w kraju. Zarzuca więc ojca nieustannie masą pytań, aż ojciec niezdolny do odpowiedzi na nie powiada: „Zdaje mi się, że ty bierzesz życie ze zbyt poważnej strony.” A syn zdziwiony i osłupiały pyta: „A jakże je mam brać?” Wreszcie po mnóstwie nadzwyczaj komicznych epizodów, obaj przychodzą do przekonania, że najlepiej będzie, jeśli się rozstaną. Ku wielkiej wzajemnej satysfakcyi rozstają się: ojciec, zaopatrzony w pieniądze przez praktycznego syna, wyjeżdża do Włoch, a młody Yankee „prawdziwy Amerykanin, rozpoczyna w spokoju swe praktyczne studia Albionu.”

Cechą, a może i celem autora jest wesołością i humorem rozbawić i dobrze usposobić. I to udaje mu się doskonale. Oto n. p. romantycznie nastrojony młody malarz, którego ukochana, mimo że odwzajemnia miłość artysty, wychodzi za bogatego kupca z New-Yorku i tam się osiedla. Przyczyna prosta: kupiec ma pieniądze, artysta ich nie ma, a praktyczna anglo-saksonka nie chce żyć w biedzie. I zrozpaczony kochanek przenosi się do Paryża i nad Sekwaną żyje wspomnieniami, pracą i suchym chlebem. Po dwudziestu latach dowiedziawszy się z gazet amerykańskich, że „ukochana” owdowiała, a mając już trochę uciulanych pieniędzy, siada na okręt i wali do Nowego-Yorku, by złożyć swą wierną miłość u stóp wdowy. W drodze zaznajamia się na statku z młodą, inteligentną, miłą, a wcale nie zalotną dziewczyną, powracającą z starego świata do Ameryki. Ciągnie ich ku sobie bezwiedna sympatya i rozpoczyna się „flirt,” nieświadomy obu „flirtującym” stronom. Przybywszy do New-Yorku, malarz spieszy z wizytą do przedmiotu swej niebywale stałej miłości. Posyła bilet przez służącą; wprowadzają go do salonu, dokąd po chwili wchodzi stara, otyła, mocno czerwona, ordynarna jejmość, której artysta pyta się o panią Paulinę Marrow (nazwisko owdowiałej ukochanej). „Jakto?

Pan masz być dawnym panem Aigrefield? Ależ siwy jesteś, jak stary szczur!” — powiada jejmość. I pokazuje się, że ten gruby, nieśmaczny, ordynarny babsztyl, to owa idealna, przez dwadzieścia lat ubóztwiana, z tęsknotą upragniona Paulina. Jednym susem znalazł się artysta za drzwiami salonu, drugim po za bramą domu, trzecim w hotelu, a w pół godziny później wraz z kuferkiem w powozie, dążącym na dworzec kolejowy. A teraz dokąd? „Dawna Paulina już nie żyje.” Nie wiedzieć dokąd powędrował artysta, ale kto wie, czy nie ku owej wiotkiej, dowcipnej amerykańskiej dziewczynie, z którą przejechał Ocean. Tylko czy i ona mu nie powie, że jest „siwy, jak stary szczur” i nie wyprawi w samotną powrotną drogę przez Ocean.

W sferę awanturniczych przygód wprowadza nas p. Max Pemberton *). „W the Phantom Army” widzimy, coby dziś jeszcze zdziałać mógł energiczny awanturnik, obdarzony szczyptą Napoleońskiego geniuszu, posiadający choćby dwustu sojuszników, zdecydowanych na wszystko i związanych bezwarunkową solidarnością. Lorenzo de la Cruz posiada taką armię sojuszników i ukryty w Pirenejach porusza swą armią i kieruje nią z mistrzowską sztuką, panuje nad nią i nad okolicznym ludem urokiem swej istoty i ma nadzieję zasiąść na hiszpańskim tronie. Lud wierzy weń, bo widzi w nim przyszłego małżonka Izabelli, córki biednego Filipa de Gavarnie, bożyszczą Karlistów, który umierając, kazał Lorenzowi „dalej waleczyć i zbawić Hiszpanię.” Armia Lorenza, jego „biali huzarzy,” to awanturnicy w wyższym stylu, ludzie wszelkich narodowości, nie mający nic do stracenia, należący niegdyś bądź do arystokracji, bądź do sfer wojskowych. Wspaniałe hojny żołd pozwala im żyć wygodnie w różnych Stolicach Europy, tylko na dane hasło powinni się zjawić do bohaterskich czynów, w rodzaju napadu na pociąg, wiozący złoto z Tuluz do Nizy, zrabowania banku w Monte Carlo, albo оголоcenia z klejnotów gości zgromadzonych na balu u jakiegoś francuzkiego bankiera. Obdarzony bujną fantazją autor, twierdzi w przedmowie, że to wszystko jest możebne, że w środku Europy z jej policją, takie napady „białych huzarów” w fantastycznych mundurach, mogłyby uść bezkarnie i udać się, że nawet Imci Pan Lorenzo de la Cruz mógłby rozżarzyć rewolucję w Hiszpanii i zdobyć koronę, gdyby.... nie był w ostatniej chwili zdradzony i osaczony zbyt wielką siłą regularnego wojska. Wierzmy mu na słowo, ale okropnie cieszymy się, że wszystko kończy się inaczej: Lorenzo ginie, jako buntownik, a drugi bohater, Anglik, Noel Falconer, który był jego prawą ręką, zostaje ocalony od śmierci tylko potęgą i powagą Anglii. Przytem tak cudownie i szczęśliwie się składa, że Izabella de Gavarnie kocha Noela, a żoną Lorenza miała zostać tylko przez poświęcenie dla idei (??!!), więc gdy nie udało jej się ocalić Lorenza, wychodzi za męża za Noela. No i Numa wychodzi za Pompiliusza.

Pro patria działa, poświęca się i naraża

*) „The Phantom Army;” „Pro Patria.” Obie w edycji Tauchnitza.

młody oficer armii angielskiej, który wciągnięty w zasadzkę, przypadkiem odkrył tajemnicę wojskową ogromnej wagi dla jego ojczyzny. Ocaliwszy się raz od śmierci, aby móżd Anglię ostrzedz o grożącym jej niebezpieczeństwie, wpada w coraz to gorsze terminy, wreszcie omal życiem nie przypłaca nieugiętości swej i poświęcenia dla dobra kraju. Tajemnica, która w tak okropne przygody wtrąciła Alfreda Billiarda, to ni mniej, ani więcej — tylko na własne oczy widziany tunel podmorski od Calais do Doveru, zbudowany podstępnie, cichaczem (!) przez Francuzów, niebezpieczeństwo i ruina Anglii!... Napróżno bohater ostrzega swój rząd, ministerjum wojny i t. d., i t. d., wszyscy mają go za waryata (czy nie mają racyi?), a tymczasem Francuzi czyhają na jego życie. W Dover, gdzie na własną rękę czyni poszukiwania, by odkryć ujście tunelu, Francuzi chwytają go — i wtrącają do więzienia. Dom, w którym trzymają Alfreda Billiarda, ma ogromny ogród, w którym pod pozorem kopania stawu, kopie się szyb, który ma stanowić ujście tunelu. Tu pracuje inżynier Jeffery, niegdyś Anglik, dziś zdrajca udający Francuza, rywal Alfreda do ręki Agnieszki, córki pułkownika Lepelletier. Naturalnie, że Agnieszka kocha Alfreda, a nie mogąc wymóżyć na ojcu, zaciętym patryocie francuzkim, oswobodzenia swego najdroższego, stara się uczynić mu niewolę znośniejszą. Między pułkownikiem a Jefferym powstaje sprzeczka, dochodząca do tego, że okropnie zdradziecki, czarniejszy od najczarniejszego dyabła inżynier, rani sztyltem ojca Agnieszki. Córka sądząc, że ojciec nie żyje, nie czuje się niczem związaną i zawiadamia przyjaciół Alfreda, gdzie go mają szukać. Gdy policja przybywa pode drzwi, Jeffery naciska guzik, iskra elektryczna zapala minę dynamitową, dom wali się w gruzy, zasypując w gruzach nie tylko ujście tunelu, ale i Alfreda, i zdrajcę. Po dwudziestu czterech godzinach szukania, przyjaciele odnajdują Billiarda, ocalonego szczęśliwie. Anglia ocalona. Szkoda tylko, że część tunelu zawalona gruzem, bo nikt nie będzie się mógł dowiedzieć, jak daleko Francuzi doprowadzili swą chytro i podstępnie założoną pracę. Stary pułkownik zmartwychwstaje, bierze dymisję i pozwala na ślub córki z wyleczonym prędko z kontuzji Alfredem. No, i jeszcze jedna Numa idzie za swego Pompiliusza.

Umyslnie streściłem dwie „Räubergeschichten” pana Pembertona, aby dać pojęcie o trzecim kierunku powieści angielskiej, o bardzo powszechnym w literaturze angielskiej *roman d'avantures*, który zawsze zachowuje wybitne miejsce obok obu wyżej zaznaczonych kierunków: społeczno-tendencyjnego i humorystycznego.

Miałbym wielką ochotę napisać o faworycie moim Jeromie. Ale o nim kiedy indziej.

Puk.



Z listów do „Bluszczu.”



Paryż, Grudzień 1902-go roku.

Coś się popsulo w aurze światowej. Zaskoczyła nas nagle zima, tęga, ostra zima z mrozami, jakich tu od r. 1870-go nie pamiętają. Wiatr dmie przejmujący, kłując, siekąc twarz, a biedni Paryżanie biegają, umierając nieraz z apopleksyi, z powodu mrozu.

I choć z roku na rok zimniej w Paryżu, duch konserwatywny tego postępowego narodu trzyma się stale dawnych kominków, pojedynczych okien i cienkich ścian, tak, że ci, którym los nie pozwala mieszkać we wspańiałych apartamentach, ogrzanych kaloryferami, marzną na środku pokoju, pocąc się za to przy kominku.

Zima w Paryżu—to wielki sezon, to epoka premier w teatrach, obiadów, bali, przyjęć—to okres największych zbytków, to czas, kiedy w witrynach słynnych jubilerów z ulicy de la Paix, najwspanialsze rozblaskują brylanty, a wieczorem w przepelnionych teatrach najpyszniejsze widzi się stroje i słyszy nazwiska bogaczy, zbiegłych do stolicy Francyi ze wszystkich zakątków świata. Wieczorami ruch w kawiarniach coraz większy, powozy wloką się jeden za drugim przez bulwary, automobile porykują, tocząc swe krótkie kadłuby, a w górze, w mgłę, raz czerwone, to złote, to zielone, to znikając, to znów się ukazując, goreją świetne afisze i reklamy.

Królowa Maria Pia, matka króla portugalskiego, on sam, brat jego, książę Oporto, królowa Izabella hiszpańska, właścicielka cudnego pałacu z Avenue Kleber, księżna Matylda i tyle, tyle głów ukoronowanych bawi tu teraz, obok miliardów amerykańskich jak Schwob, król miedzi, Gordon Benett, właściciel „New-York Herald'a” i efemerycznych sław paryżkich, jak Santos-Dumont, który przeprószywszy się znowu z Paryżem, powrócił niedawno z Ameryki.

I leje się złoto, płyną luidory i może nie ma miasta na świecie, w którym takby odczuć jasno można ową wszechwładzę pieniędzy, potęgę milionów, dających dzisiaj wszystko,

A czuje się to tem więcej w te mroźne noce, kiedy mijają na każdym skrócie cicho płynące karety-samochody, a chodnikami biegnie nędzna ciżba robotnicza, zmarznięte twarze wciskając w podniesione kołnierze kurtek i paltotów.

Ale kto chce wejść w jakiś czarowny, fantastyczny kraj uciech przedświatacznych, kto pamięta, że grudzień to miesiąc świąt Bożego Narodzenia, świąt Milusińskich, ten niech zajrzy do wielkich magazynów...

Byłem w tych dniach w Bon Marché.

Jeżeli z ekonomicznego punktu widzenia wielkie magazyny, jak wszelkie monopole, trusty i zjednoczenia kapitalistyczne są zabójcze dla drobnego przemysłu, dla drobnego wytwórcy i jako takie mają złe strony, to z innego punktu są one tak olbrzymiem ułatwieniem życia, mają tyle stron praktycznych, że doprawdy, przez egoizm może przebacza się tym ogromnym ulom ich winy ekonomiczno-społeczne.

Lubię te sklepy olbrzymie za ich ruch i gwar, za ich przedziwne symfonie tonów, za te przebarwne plamy tak artystycznie rozrzucone, bijące w oczy wszędzie, gdzie się obrócić, jakaś przedziwna mozaikowa pstroczna, łagodna jednak i niekrzykliwa.

I wszystko tu rozkłada się z przepychem królewskim, z hojnością niesłychaną, z jakimś niepojętym bogactwem...

Wcisnięty przez tłum wchodzę powoli, mijając ogromne płaskie pudła, w których nie wiem jakimi już barwami grają, skotłowane stukolorowe, miękkie, przedziwne wstążki, kawałki jedwabów, w których setki rąk przebie-

ra, szuka, ogląda, przewraca, zaledwie wybierając cośkolwiek pod okiem jedyne kupnia. A dalej leżą okrycia. Ciemne, jasne, peleryny, żakietki rzucone na jedną wielką kupę, pomimo, że każda sztuka kosztuje przynajmniej kilkanaście franków.

A dalej, jakby dla większej pokusy, wiszą lśniące żakiety futrzane, wełniące się karakuły, jedwabiste *loutre*, zbite w jedną masę, piętrem mieniąc się gdzieśgdzie, jak ciałem odkrytem, miękką podszewką jedwabną. Kilkanaście tysięcy franków leży tak na ziemi prawie, pod ogromnym bukiem różnobarwnych spódniczek jedwabnych, grających delikatnymi barwami, mieniąc się, jak płatki dziwnych kwiatów, na których niby delikatne mgły białe, opadły przejrzyste koronki i wiją się lekkie *crêpe-chiffony*. Teraz ciżba. Stoi tłum, podnosząc głowy do góry: czernią się zimowe ubrania, kołyszają wielkie kapelusze, czasami zamajaczy rudy połysk futrzanej narzutki, a faluje to pod pozłote schodów, co wiodą na górę, na wyższe piętra, zkład dochodzi dźwięk krzykliwy karlich głosów fonografów, piszczałek, dzwonek. A w dole gra muzyka i tłum patrzy na dwa śmieszne automaty, dwóch mężczyzn, łowiących ryby. Miarowemi, rwanemi, jak pod kątem prostym wykonywanemi ruchami jeden, elegancki pan wyciąga raz kalosz, to dziecko, to znowu kawał drzewa i dziwnie rozkłada ręce i drga mu z oburzenia głowa, a oczy przymykają się rytmicznie. Obok drugi, chłop prosty, gruby i rumiany, co zarzuci wędkę, to wyciągnie rybę, i pociągnie cygaro, zapalające się czerwonym światłem. A tłum stoi, komentuje, bawi się; omijam te masy ludzi i idę dalej. Wpadam w świat lamp: całą armię wysokich jednonogich lamp, o głowach puszystych, abażurowych, strzępiastych, to rozkwitających, jak kwiaty płomienne, to łagodnie zwieszających lekkie przeźroczne, ubrane koronkami jedwabie, to nieprzyjemnych, sztywnych, papierowych, brutalnie malowanych w krzykliwe barwy.

Jeszcze parę kroków: jak śniegiem zasłał. Bielizna... W płaskich pudłach, na ramionach podstaw metalowych szlafroczy koronkowe, przeźroczne batystowe, wszystkie tajniki tualet kobiecych, te *dessous* ponętne leżą tu teraz jeszcze martwe, nieożywione przeblaskującą z ich mgły białej różowością ciała.

A wszystkiego taka moc. Rzekłbyś pola całe, ogromne sklepy zamknięte, rzucone potężną ręką w tę wielką hallę, rojną od ludzi, światła, barw, spiętrzonych materiałów, pełną ruchu, hałasu, targowisko olbrzymie. A że *étrennes* blizkie, że to święta za pasem, więc najwspanialej rozrzucono zabawki dla dzieci.

Trójkolorowe flagi zwisają pękami z wyższych galerii, które obramowały dziwne głowy, pyzate, czerwone, z szeroko rozwartymi ustami, śmieszne głowy, w które gdy rzuci się piłkę, usta zamykają się nagle, połykając ją, jak pigułkę. Tu na dole, na malej estradzie, sunie cicho pociąg, to ginąc w tunelu, to mijając oświetlone domy, to port, w którym stoją okręty.

A w koło, z zadartemi do góry główkami, ciżba maleńkich, którym na te cuda tylko patrzeć i podziwiać wolno.

Automatyczne zabawki wiercą się, kołują, skaczą baletnice, automobile, zawrotne kregi, muzykalny kłown gimnastykuje się na dwóch krzesłach, przygrywając na mandolinie, a wokoło płyną fale ludzi, bez końca i początku, w ciasnych przejściach, pomiędzy stołami błyszczącymi, rozbarwionymi, pełnymi tak, że aż w końcu patrzeć się już nie chce.

I wlokę się za innymi po przez te lasy wiszących boa, co jak węże lekkie, puszyste, bujają się na wysokich słupach, mijam przeźroczne koronki, martwo ustawione na manekinach suknie, wchodzę na chwilę do czytelnicy, gdzie każdy przeczytać może bezpłatnie wszystkie dzienniki paryżkie, przejrzeć il-

lustracje, a nawet pisać listy na papierze z firmą „Bon marché.” A kiedy zmęczony wędrówką kupujący chce dostać się wyżej, wiezie go na wyższe piętro winda, a tam w bufecie dostanie darmo wody z sokiem albo innego ochładzającego napoju.

Armia parotysięczna pracowników roi się przy owych setnych „rayons,” a sale jadalne, urządzone przy magazynie, dwa razy dziennie na zmianę karmią te tysiące, których życie monotonne przepływa wśród fatalaszków barwnych, pod nieustannem światłem lamp elektrycznych, przy ciągłym przepływie kupujących fal ludzkich.

Wracałem ztamtąd podczas ostrego mrozu, co lodowatym wichrem wiał od rzeki.

Na placu koło szpitala Hôtel Dieu widzę gromadę ludzi, stojących parami wśród szpaleru ze sznurów, ludzi zmarzniętych, nędznych. A w wielkiej szopie, słabo oświetlonej paru lampami, za dużym stołem, siedzą na ławach tacy sami nędzni i zapijają z dymiących misek kawę, zagryzając chleb. A tamci za sznurem, ustawieni na mrozie, czekają swej kolei.

To filantropijna instytucja, zwana „La bouche de pain,” która przez całą zimę daje bezpłatnie nędzarzom kawę i kawał chleba.

W przytułkach przepełnienie. Sale noclegowe nie mogą już pomieścić pensjonarzy, bo pod mostami mróz spać nie daje. I jeśli wspaniałym jest Paryż futer, jedwabi, koronek, włóczący się leniwie po rue de la Paix, pod ogniem milionów brylantów, przed podwieczorkiem u Ritza na placu Vendôme, to strasznym jest teraz Paryż zaułków, Paryż nędzy i strapienia, gnieźdzący się w zaułkach, błotnych czarnych dzielnicach St.-Severin, placu Maubert, Belleville, Claisance, Bastylli, gdzie tylko nędza... nędza bez końca...

Powoli zaczyna się też ruch spokojny, ruch przedświataczny na ulicach, gdzie wieczorem, raz wraz spędzani przez policję i raz wraz wracając, uwijają się kameloci, sprzedając setne drobiazgi, wynalazki ostatnie, male arcydzieła nieraz, zabawki mechaniczne, sznurkiem nakręcane, proste, dowcipne, a tak kunsztowne w pomysle. Wiele obiecują ich na ten rok, bo konkurs urządzony na takie zabawki przez Prefekta Sekwany, obudził ambicje i pobudził tych małych wynalazców.

Kiedy mowa o konkursach, to ciekawym ze wszech miar był konkurs szyldów i znaków, urządzony w Ratuszu.

Znacie te stare znaki cechowe, te arcydzieła kunsztu ślusarskiego i kowalskiego, te jak koronkowe przeźroczne symbole karczem i dawnych sklepów.

Dodawały one uroku starym domom o gotyckich łukach z wystającymi po rogach maszkaronami i chimerami, znikłymi dzisiaj przed jednostajnością nowoczesną domów koszarowych.

Grono artystów paryżkich postanowiło jednak wskrzesić owe szyldy stare, tak artystyczne, tak ciekawe, których jedyną w swoim rodzaju kolekcję posiada muzeum paryżkie zwane Carnavalet. Więc ogłoszono konkurs, w którym wiele sław akademickich przyjęło udział, że wspomnę Gerôme'a, a nagrodę zdobył Villette.

Ale pomimo pięknych pomysłów, czuć w tych szyldach modernizm, uczoną wyszukaność, brak im naiwnej prostoty i pomimo naśladowania archaicznych motywów dawnych, nie bardzo przyozdobia te nowe szyldy płaskich naszych domów paryżkich.

Pomysł jest wszelako dobry w zasadzie.

Raz jeszcze przypomina on tę wielką prawdę, że doba obecna napróżno, pomimo wszystkich wysiłków, stara się odzyskać artyzm wrodzony epok minionych.

Żyjemy w dniach wielkich postępów, ale nasze gorączkowe, coraz więcej maszynowe życie, dalekie jest od życia artystycznego średniowiecza i coraz więcej przekonywamy się

na każdym kroku, że mimo wszystkie zdobyte techniki, nie dorównamy nigdy w kunsztach artystycznych majstrom z minionych wieków.

Stałem przed paru dniami w Luwrze przed nowo wystawionymi meblami, należącymi do państwa. Przede mną złoci się na smukłych, okrytych bronzami nogach, mały stoliczek do roboty Maryi Antoniny. Jakieś przedziwne biegały w koło girlandy, amorki brązowe, cyzelowane tak wspaniale, że stojący obok mnie robotnik-fachowiec, który długo patrzył, nachylał się, przyglądał, w końcu mruknął:

— Nie, tak dzisiaj nikt już nie robi. To były dyabły, nie ludzie. Ja sam jestem dobrym majstrem, znam wszystkich z mego fachu. Naśladować—naśladowujemy, ale tej finezyi, tej lekkości nie da nikt z nas. Dyabły były, powiadam, nie ludzie!

I cóż dziwnego, że gdy na licytacji jakiej ukażą się takie zeszłowieczne arcydzieła, ludzie zbiegają się z pięciu stron świata i na wagę złota kupują takie arcydzieła.

Taką licytacją, która zajęła cały Paryż, która stała się sensacyjnym wypadkiem dnia, była sprzedaż kosztowności i mebli po s. p. Boncza-Rutkowskiej, przedwcześnie zgasłej artystce Komedyi Francuskiej. Dawno nie pamięta Paryż tak wspaniałej wyprzedaży: największe damy francuskie: księżne, hrabiny, przebogate panie z „finanów“ czekały wraz z najpiękniejszymi damami z półświata u wrót hotelu Drouot otwarci na sal, pomimo mrozu cierpliwie wystając w kdei.

Ale za to emocja była niepowściągliwa, bo licytacje dochodziły do ogromnych sum i była chwila istotnie ciekawa, kiedy pomiędzy panną Nelly Newstreet, grą jubilerów angielskich i jubilerem paryżm p. Bassot toczyła się walka o wspaniałe łańcuszki i perły, który na koniec nabył p. Basot za 234,000 franków. Cała sprzedaż dała rzeszę milion franków i dłużnicy, zarówno ja spadkobiercy pięknej artystki będą zadowoleni.

Kiedy mowa o klejnotach, a znaczyć jeszcze mimochodem, że muzeum Luwu otworło podwoje sal, w których znajdują się klejnoty, ofiarowane przez Rotszyldów, radkiej piękności i wartości sprzęty kościoła z XV, XVI i XVII wieku. Są tam różace o wielkich paciorkach, z których każdy się otwiera, ukazując wewnątrz jakąś scenę z życia świętych, artystycznie wykonaną.

Kiedy mówię o kolekcjach, to zaznaczę jedną, którą widziałem niedawno, a która przechodzi inne nadzwyczajności swoją.

Jedna z artystek paryżkich p. Anna Thiebaud, w małym saloniku tego eleganckiego hotelu, zebrała w trzech przeszklonych etażerkach kolekcję przeszło rzeszy dzwoneczków, artystycznie dobranych i nieraz nader rzadkich i pięknych. Rozrzucone nieco, bez porządku i chronologicznej planterii dzwoneczki p. Thiebaud, rozłożone na zerwanym pluszu, cały świat i całą historię świata obejmują.

Oto figurynka z czasów Ludwika XVI-go flirtuje zawzięcie z dzikim młazem japońskim, obok którego duma orzeł Świętej Heleny. Postacie królów, panów, kostymowane typy różnych narodów, figurki z wieków średnich, arcydziwne, naiwne a suteln, rzeźbione w rzadkim dzisiaj brązie, którego głos ma dźwięk niesłychany, wszystko to płacze się ze sobą, zebrane kaprysem pięknej pani, która czasami porusza te dzwoneczki, z których niektóre były w rękach królów, i wydobywa z nich dźwięki, które może na wielkie historyczne przyzywały czyny.

Zajęły mnie szczególnie dzwoneczki karykatury: cesarzowej Eugenii, przedstawionej, jako kotka, Jana Jakóba Rousseau, jak stara kobieta, a obok tego szereg średnio-wiekowych figurek w kostymach współczesnych służących za rączki do dzwoneczków, a dziś są to rzadkie i cenne dokumenty do kostynologii.

Od dzieł sztuki do cyrku krok daleki i ryzykowny, ale uczynić go muszę, żeby podzielić się z czytelnikami memi wiadomością, którą w tej chwili odbieram, że feminizm doszedł dzisiaj tak daleko, iż po świecie krąży trupa cyrkowa, złożona wyłącznie z kobiet i zostająca pod kierunkiem kobiety.

Dyrektorką jest panna Ruth Longfellow, a cyrk jej, złożony całkowicie i jedynie z kobiet, wielkim wszędzie, gdzie przebywał, cieszył się powodzeniem.

Córka ubogiego atlety jarmarcznego, u którego nauczyła się swej sztuki, panna Ruth została po śmierci ojca obrana zupełnie z dziedzictwa swego przez braci. Oburzona młoda dziewczyna, postanowiła dać sobie radę bez pomocy mężkiej i z czterema towarzyszkami założyła mały cyrk.

Sukces był ogromny, a najlepszym tego dowodem jest to, że stoi ona dzisiaj na czele cyrku, liczącego szesnaście wielkich wozów, zaopatrzonych jedynie kobietami.

Nawet w stajniach są tylko... klacze, tak wielką jest przeciwniejsza zaciętość panny Longfellow, która znosi mężczyzn tylko... jako widzów.

Z cyrku przejdźmy do paryżkiej Izby deputowanych.

Na tej arenie politycznej panowie deputowani policzują się silniej i realniej, aniżeli upudrowani clovni, spełniający ku zadowoleniu gawiedzi swe smutne rzemiosło.

Izba długo siedziała cicho. Zdawało się, że sessya obecna zakończy się spokojnie, sennem zwycięstwem ministerium, które oparłszy swą politykę i karierę na przesładowaniu Kościoła, mając za sobą większość Izby, prowadzi nieustannie swe nietoleranckie, niszczyielskie dzieło.

Było więc cicho i spokojnie, póki rozprawiano o palących sprawach religii i polityki rządowej, ale krew zagrała w tych panach, gdy przyszło do interpelacji nad sprawą Humbertów.

Ci państwo, t. j. Humbertowie i Daurignacowie ciągle bawią za granicą *), po za ręką sprawiedliwości, przykrótką widać względem nich.

Dowiedzieliśmy się tymczasem ze zwierzeń byłego agenta śledczego Souffrain'a, że Fryderyk, ów sentymentalny poeta, był znakomitym procederystą i on to prowadził ową podwójną buchalterię prawną, polegającą na wytaczaniu sobie samemu procesu w imieniu urojonych Crawfordów.

Owóż p. Gauthier z Clugny zainterpelował w tej sprawie ministra sprawiedliwości, utrzymując, że już Waldeck-Rousseau, dalej sam p. Vallé, obecny minister sprawiedliwości oddawna wiedzieli o oszustwie Humbertów, a ci jednak dobre czynili ofiary. Fotografie wysłane za zbiegami są niepodobne, cała akcja sądowa nieudolna i powolna.

Minister Vallé wstąpił na trybunę, aby odpowiedzieć, ale nagle, jak huragan, podniosły się głosy prawicy, witając obelgami każde słowo ministra.

A kiedy ten ostatni zawołał, że będąc deputowanym, siedział Fryderyk Humbert na ławach bulanzystów, Syveton i inni nacyonalisci, krzyczą: „kłamstwo, nieprawda!“ Contant (nacyonalista), miota obelgi na Vallégo i nagle robi się kotłowanie, krzyk, pięści wznoszą się w górę i wkrótce z naszej loży dziennikarskiej widzimy tylko jakąś wyjąca, zbitą masę ludzką, szarpiącą się, miotającą w półkoło przed trybuną.

Prezydent Bourgeois dzwoni, ale już i dzwonek nie słyhać. Z trybun publicznych też dochodzą krzyki. Widzimy Vallégo walczącego z Syvetonem, którego ciągną kolledzy. Gdzie niegdzie fraki woźnych i czerwone

kołnierze ich pomocników barwią się jeszcze, odrzucane z końca w koniec, a reszta deputowanych z ław, stojąc, krzycząc, bierze udział w tej powszechnej bijatyce.

Nakoniec Bourgeois nakrywa głowę. Zaczyna się wyrzucanie publiczności z trybun, tylko nas nie ruszają, bo któżby heroiczne czyny izby opisał?...

Po pauzie następuje krótkie i znowu burliwe głosowanie, naznaczające cenzurę p. p. Syveton i Contant. Prezydent prosi p. Syveton, żeby opuścił salę. Ten odmawia. Prezydent znowu nakrywa głowę i zjawia się siła zbrojna: wojsko pod dowództwem oficera. Prawica woła: „Niech żyje armia!“ Powoli otoczony przyjaciółmi i żołnierzami, ściskając dłoń oficera, wychodzi Syveton. Ta sama heca odbyła się z p. Contant.

Takie było ostatnie przed wakacjami zimowymi posiedzenie Izby francuskiej.

Zanim skończę niniejszą korespondencję, chciałbym parę słów dorzucić o teatrze.

Bodinière, w której osiadł Teatr Międzynarodowy, daje jutro, jako premierę, sztukę R. Bracci „Niewierna“, a Antoine wystawił wczoraj rzecz głęboko przejmującą, sztukę młodego Holendra Hermana Heyermans'a p. t. „Dobra Nadzieja“. Jest to dzieło wielkiej wartości, wystawione tak, jak Antoine wystawiać tylko umie, z nastrojem olbrzymim, plastyką i wiernością szczegółów scenicznych zdumiewającą. Heyermans wystawił już w Paryżu sztukę p. t. „Ghetto“. Dzieło jego obecne ma jednak treść bardzo poważnie zakrojoną. Heyermans pokazał pracowników morza, biednych marynarzy, rzuconych na pastwę losu, na beznadziejną walkę z potwornym żywiołem, aby tylko napęlić złotem kieszenie właściciela statku.

Intrygi w ścisłym znaczeniu tego słowa prawie tam niema, jest to raczej szereg scen związanych luźno ze sobą, ale po mistrzowski oddanych.

Jesteśmy w starej rybackiej chacie, w małej mieścinie holenderskiej, której mieszkańcy—nędzarze żyją tylko z połowu. Morze dziesiątkuje ich i nie zliczyć już ofiar.

Stara Katarzyna straciła męża, a syn jej Bernard ma jechać z wyprawą, lecz boi się, nie chce rzucać swego życia w tę „trumnę“ pływającą. Drugi syn Katarzyny, Gerard, wyszedł dopiero co z więzienia, w którym przebywał za to, że uderzył podoficera, który naigrawał się z jego narzeczonej.

W drugim akcie Bernard uległ prośbom matki i z Gerardem pojedzie na statku właściciela Leboisa „Dobrej Nadziei“. W chacie święcą urodziny starej Katarzyny; starzy upijając się, młodzi dokazując, a Gerard spiewając pieśń socjalistyczną, która nie podoba się p. Lebois. Ostro zwraca on uwagę młodemu człowiekowi, że za parę godzin „Dobra Nadzieja“ odpływa; wówczas Gerard podniecony rzuca w twarz armatorowi prawdę gorzką, mówiąc, że posyła on z zimną krwią ludzi na stracenie, byle grosz zarobić. Lebois wściekły mści się, wyrzucając matkę Gerarda, starą Katarzynę, ze służby.

Akt trzeci monotony nieco, świetny w nastroju, kiedy wicher huczy i rozbija chatynki rybackie, polega na opowiadaniu kobiet o nieszczęściu, jakie przeszły i o tem, że „Dobra Nadzieja“ nie wraca.

W ostatnim akcie Lebois wie napewno, że statek z całą załogą zginął, wie, że szczątki widziano nawet. Ale nie mówi wdowom i sierotom, tylko telegrafuje do Towarzystwa assekuracyjnego o wypłatę premii. Tymczasem wiadomość nadchodzi. Lament i płacz w biurze. Przychodzi Katarzyna, i sztuka kończy się wspaniałomyślnymi słowami Lebois do Katarzyny:

— Możesz przyjść na robotę do mnie raz na tydzień.

Sztuka robi wstrząsające, potężne wrażenie.

*) Już zchwytni w Madrycie.

(Przyp. Red.).

Jest w niej jakieś chmurne, zbalwanione niebo, jest jakiś ołowiany smutek, jest czar-na, beznadziejna noc wśród mgieł północ-nych, jest żywiołowa wielka moc.

Sztukę grano i wystawiono świetnie, a An-toine grał rolę kilkowerazową, bo dając, jak zwykle, aktorowi Mosnier rolę Lebois do zo-stąpienia na pierwszych próbach, spoztegl-szy, że ten gra ją dobrze, zostawił mu tę rolę na stałe.

Koncertów już sporo: Marcella Pregi spie-wał w „Dannation de Faust,” u Colonne'a, w „Scola Cantorum” grała p. Landowska, a wszystkie mury pokrywają się afiszami roz-licznych towarzystw muzycznych, zapowia-dających swe wieczory.

W „Operze” dadzą „Pajaców.” Rejane gra w „Jong,” po za tem nowości jeszcze niewiele i oprócz „La Chatelaine” Capus'a nie dobrego. Ciekawą i sensacyjną będzie premiera „The, Heroine de Méricourt” (Heroína Rewolucyi), którą to rolę odtworzy u siebie nieśmiertelna Sarah Bernhardt.

A propos skończyła czy kończy 60 lat...

K. D. S.



Na półkach księgarskich.



— **„Złote myśli Elizy Orzeszkowej”** zebra-la Janina Zarembianka. Warszawa 1903. Nakładem księ-garni M. Borkowskiego.

Mamy przed sobą książkę, w której starannie zebrano „Złote myśli” Elizy Orzeszkowej, licznie rozsiane w jej utworach, takich jak: „Pamiętnik Wacławy,” „Rodzina Brochwiczów,” „Pan Graba,” „Jędrza,” „Marta,” „Ostatnia miłość,” „Na dnie sumienia,” „Cnotliwi,” „Z życia reali-ty,” i in. w drobnych nowelkach i artykułach.

Uwagi np. zaczerpnięte z artykułu p. t. „Kilka słów o kobietach” dałyby się dzisiaj doskonale zastosować i mo-głyby być wskazówką postępowania dla kobiet w przy-szości.

W szeregu wyrażonych tu myśli zacnych, prawych, szlachetnych, jasnych i czystych, które jak świetne gwia-zdy torują i oświecają drogę życia, realizując jego cele i za-dania człowieka na polu osobistym i społecznym, widzimy młodzieńcze porywy ducha w początkach twórczości, roz-zwój i dojrzewanie poglądów późniejszych i krystalizowa-nie sądów, popartych doświadczeniem i wyrozumiałością.

Czytelnicy odnieść z nich mogą naukę, pociechę, radę, przestrożę, mogą odnaleźć w nich drgnienia własnego ser-ca i przejawy uspionych własnych myśli, powołanych do życia słowem autorki, której za zdrowe ziarna jej dotych-czasowej działalności należy się wdzięczność i uznanie.

Dlatego podnosimy chwalebny pomysł p. Janiny Za-rembianki, która nas zapoznała z wiązką myśli naszej zasłużonej literatki. Tytułową kartę zdobi portret autorki.

Włodzimierz Trampezyński: **„W służbie Czar-nego Orła.”** Warszawa 1903. Nakład K. Treptego.

Nader zajmującą powieść historyczną z czasów panowa-nia w Pruszech, cesarza Fryderyka Wilhelma, dał nam autor, poruszając mało znany i dotąd u nas mało obrabia-ny temat przymusowego werbowania młodzieży polskiej do wojska pruskiego. W opowiadaniu swem przedstawia nam p. Trampezyński losy dwóch młodych szlachciców, po-rwanych gwałtem i podstępem do pruskich zaciągów wojskowych. Karność i rygor regulaminu, szorstkość i ru-basność wojskowych obyczajów oddane są z siłą i pra-wdą, jak również środki kar używanych i znęcania się nad rekrutem, w celu poskromienia i ujarznienia wrogiego du-cha polskiego. I powoli w tej despotycznej pressyi, w ogłupiającej rutynie wojskowej, w tych nieustannych musztrach w ciągu lat całych słabnie i ugina się ten bun-towniezy duch chłopców. Losy ich rozdzieliły, mowa ro-dzinna nie dochodzi nigdy i pamięć przeszłości dziecięcej z biegiem lat się zaciera. Jeden z podstoliców Gwiazd-owskich przystosowuje się powoli do warunków otoczenia i wraz z narzuconem mu nazwiskiem Sternberga, zapomi-na o swem pochodzeniu i niemieckie zupełnie, dosłużywszy

się w wojsku rangi jenerał-majora. W końcu gdzieś nad Renem zakłada dom i nową rodzinę. Ale w drugim chlo-pcu tkwi jeszcze duch buntowniczy i potrzeba mu tylko zarzewia, by na nowo wybuchnął. I okazya taka się zdarza. Młody kadet z swym wiernym, nieodstępnyim slu-gą ucieka z wojska, przechodzi szereg prób ogniowych, mąk wyczerpujących, przygód złowrogich, aż wreszcie le-dwie żyw dobiega w końcu do własnej siedziby, aby powro-tem swym cieszyć jeszcze oczy starych, steranych ro-dziców.

Spotykamy tu nadzwyczaj sympatyczny typ slugi: pro-sty, kujawski chłop, z sercem, jak iza, pobożny, a przytem sprytny, a wierny, że duszę własną oddałby za „panieca.”

Styl jedyny, zwięzły, istic „wojskowy” doskonale odda-je rygoryzm pruski, nawet nazwiska służbiistych urzędni-ków, jak: Hallunke, Hundt i Schurke są umiejętnie zastoso-wane.

Powieść ma wielką wartość ze względu na stosunki polsko-niemieckie obecnej doby i czyta się ją ze wzrasta-jącym zainteresowaniem.

Walerzy Przyborski: **„Na San Domingo.”** War-szawa 1903. Nakład K. Treptego.

Jednocześnie z powieścią historyczną: „Austriacy w War-szawie” ukazała się druga książka, zawierająca opowiada-nie legionisty z początków XIX-go wieku.

Treść obu tych książek jest analogicznie do siebie po-dobną.

W pierwszej młody doboz, otrzymuje polecenie zasią-gnięcia wieści o Austriakach w Warszawie obozujących i z narażeniem życia przedsięwzięcie tę niebezpieczną prze-pawę, — w drugiej również młody i dzielny chłopak zosta-je wysłany na zwiady do portu Marmelade, obleżonego przez Murzynów, a ocalonego później posiłkami Polaków.

I w jednej, i w drugiej, obaj chłopcy doświadczają nie-zliczonych przygód, pokonywują ludzi i żywioły, wysili zgują się z niebezpieczeństw, unikają niechybnej śmierci, sprawiają się gracko, zasługując na pochwałę i odznacze-nie; tylko powiedziałbym, że pierwszy z nich, doboz Kala-fior, posiada w sobie więcej mekkości, sprężystości, energii i nadludzkiemi niemal wysiłkami wydobyla się z opalów, podczas gdy drugi, Stasiak Bigos, najwięcej drogiego cza-su marnuje na nieustanne posiłki, a także nieco na gapio-stwo, (np. w obserwowaniu hufców murzyńskich i w do-mu Lecomta), nie mówiąc już o takich drobiazgach, jak nadmierne wezbranie wód, przeprawa z węzłem, ze świnką, wieczór zmierzony i niepotrzebny wydatek na czary i gu-sła wiedzmy Rozamundy, stojące mu na przeszkodzie do osiągnięcia głównego celu. Ale gdy ma ku temu sposo-bność i dociera wreszcie do fortecy Gros Morue daje do-wody swej waleczności, odwagi i sprytu, sprawia się jak-najdzielniej wśród ochotników w utarczce z Murzynami, zyskując stopień sierżanta.

Dopiero w końcu powieści, wraz z posiłkami wojsk pol-skich podąża do właściwego portu, w którym ogłodzeni w prawdzie, lecz dzielni wojacy sami sobie dotychczas ra-dę dawali. Co prawda, polecenie jenerała Jabłonowskie-go, doręcza Stasiak komendantowi już po niewczasie, tłó-maczy go jednak niezwykła ilość przeżyć, przygód, oraz waleczność w boju okazana.

Bardzo dobry typ dał nam autor w osobie wiwandyerki Buciewiczowej, krzykliwej, rubasnej, zamaszystej i nie-ustraszonej towarzyski trudów wojennych.

Język i styl, jak zawsze u tego pisarza, wzorowe.

Obie te książki, tj.: wyżej wymieniona p. Trampezyńskie-go: *„W służbie Czarne-go Orła,”* oraz W. Przyborskie-go: *„Na San Domingo”* (opatrzone rycinami L. Ilinicza) jako jedne z lepszych w tegorocznym wydawnictwie gwia-zdkowem, polecane być mogą z pożytkiem dla dorastającej młodzieży.

Z. Morawska: **„Z lat dawnych, wspomnie-nia.”** Warszawa 1903; Nakład J. Lisowskiej.

Mamy tu szereg obrazków historycznych na tle naszej przeszłości dziejowej. Niektórym z nich możnaby zarzu-cić pewną nieścisłość faktów historycznych i monotoność opowiadania, oraz zbytne nagromadzenie imion mniej znanych bohaterów, (np.: w opowiadaniu p. t. „Na Kos-sowem Polu”) z którymi młodociany czytelnik, nieobznaj-miony dokładnie z historią, poradzić sobie nie umie.

Do najsympatyczniejszych i najbardziej udatnych obraz-ków zaliczyć można: „Zapóźnie,” „Święcone w Białej Wo-li,” „Kulig,” „Pani Matka.”

Z. Morawska: **„Cy to ciekawe.”** Warszawa 1903. Konstantego Treptego.

Książka ta zawiera szesnaście króciutkich powiastek, przyozdobionych rycinami L. Ilinicza, przeznaczonych dla małych dzieci. Niektóre powiastki zakończone są mora-

lem w wierszowanej formie, inne podają malcom prozą wzory i nauki postępowania.

Z. Morawska: **„Moje powiastki.”** Warszawa 1903. Nakład K. Treptego.

Nazwać by je można dalszym ciągiem pierwszej ksią-żeczki tak pod względem literackim, jako też i wydawni-czym. Mamy tu znów zbiór szesnastu pouczających po-wiastek, opartych na tematach najlepiej znanych i najprzy-stepniejszych dla naszych Milusińskich. Obie książki uważane być mogą, jako materiał pedagogiczny w ręku dobrej mamy lub nauczycielki.

— Józef Wisniakowski, znany i zasłużony autor i wy-dawca wielu gier pedagogicznych i zabawek dziecięcych, wydał w obecnym sezonie dwie nowe i pouczające lote-ryjki: językową i rachunkową. Pierwsza zaznajamia dzie-ci z gramatycznym sposobem wysławiania się, druga, opa-trzona licznymi wizerunkami zwierząt, których nazwy w czterech językach znajdujemy umieszczone na odwro-tnej stronie tabliczek, uczy w najprzystępniejszy sposób czterech działań arytmetycznych.

Ze względów pedagogicznych obie te gry śmiało polecić można naszym wychowawcom.



Kronika działalności kobiecej.



— Na ostatnim posiedzeniu komitetu Kassy samopomocy kobiet, stosownie do art. 16 ustawy, postanowiono wykreślić uczestniczki, które nie opłaciły zastrzeżonych składek; zaproszono na lekarzy Kasy drów M. Januszkiewicza i Z. Dobrowolskiego, oraz przyznano uczestniczące Kassy pożyczkę rb. 30.

Dochód ze sprzedaży rabatowej przeznaczono na wsparcie najbiedniejszych uczestni-czek Kasy.

— Trzy kobiety w Ameryce, objęły świeżo stanowiska rzędowych inspektorów szkolnych. Pani Delario w Wyomingu, pani Roza Rice Turner w Spokane County w Washingtonie, i pani May I. Scott w Idaho.

— Panna Iarya Ritter, osoba poważnej wiedzy i nieziordowanej pracy, od lat wielu czyni naukow doświadczenia w celu znale-zienia nowych roślinnych środków leczni-czych i w ostatnich latach do znakomitych podobno doszła rezultatów. Panna Ritter za-mieszkuje na Łątku i liczy tam bardzo po-każny zastęp leyentów.

Z powołania malarka, utraciwszy wcześniej wielu jej najbliższych, porzuciła swój zawód, a posiadając przebną podstawę wykształce-nia, oddała się studjowaniu botaniki, chemii, dopełniając je sdyami nad anatomią i psycho-logią. Po zdaniu egzaminu z nauk przy-rodniczych, zajęła się do wynajdywania środ-ków w leczniczych roślinach. Uzyskała pań-stwowy patent a przyrządzanie ich i z po-wodzeniem stoje wiele z nich w różnych cierpieniach.

W jak szerokim zakresie środki wynalezio-ne przez pannę Ritter dadzą się zastosować, przyszłość to pkaże; fakt jest, że w nie-zliczonej ilości wypadków przyniosły ulgę, w wielu zaś razach zupełne wyleczenie.

— Mrs. Brown z Atlanty (w Stanach Zjedno-czonych p.dn. Ameryki), znana w szerokiach kołach pod nazwą „przyjaciółki zwierząt,” otrzymała już d 4-ch tysięcy kobiet uro-czyście przrzeczenie, że nie będą nosiły pta-ków i skrzydłptasich na kapeluszach. Na skutek niestrudzonej pracy w tym kierunku, pani Brown, która w niezliczonych artyku-łach w rozmaitych dziennikach, podnosiła tę kwestyę, około trzech tysięcy dzieci szkol-nych w Atlanty podpisało zobowiązanie roztracaia opieli nad skrzydlatemi stworze-niami.

Z. S.

Nasz ul.



— Poważny zarzut stawia p. Stan. Keller-Krauz w „Nowem Słowie“ fizycznemu wychowaniu kobiet u nas.

Gdy wszyscy prawie dążą do poprawienia warunków tegoż wychowania w szkołach męzkich, o żeńskich wcale nawet nie pomyślano. Stoją one pod tym względem na jednym poziomie, a nawet znacznie niżej, jak sto lat temu. Prawda, że umysłowe wychowanie kobiety stoi znacznie wyżej, lecz za to fizyczne jej wychowanie spadło znacznie niżej.

Cały prawie system wychowania obecnego dąży do tego, by uczynić z głowy skład po większej części niepotrzebnych rupieci, rozwój zaś fizyczny spaczyć najzupełniej. Idea ta przyświeca zarówno w życiu domowym, jak i szkolnym, lecz jakież z tak wychowanych istot wyrość mogą pracowniczki społeczne?...

Szerokie tu pole do działania otwiera się dla kobiety-lekarza. One to mogą zabrać się do naprawy tego rozpadającego się w gruzy gmachu; za ich to przyczyną wyrość może nowy zastęp bojowniczek, — nowy typ zdrowej i silnej kobiety.

— W pierwszych dniach grudnia otwartą została w Petersburgu wystawa międzynarodowa kostymów. Na wystawie tej najwspanialej przedstawia się dział polski, urządzony staraniem pp. Franciszka Pułaskiego i Antoniego Strzałeckiego, ze zbiorów prywatnych. Liczne wystawione ubiory, zbroje i broń, będące cennymi pamiątkami po królach lub wielkich mężach naszych, pod względem pięknym przedstawiają olbrzymią wartość, pod względem zaś historycznym i artystycznym są bez ceny.

— Na konkursie delegacji architektonicznej na model świecznika, pierwszą nagrodę przyznano p. Zenonowi Chrzanowskiemu, drugą zaś p. Józefowi Gardeckiemu.

— Warszawskie Towarzystwo Artystyczne, pragnąc przyczynić się do wzniesienia schroniska dla steranych wiekiem lub pracą artystów, a nie posiadając odpowiednich funduszy, podjęło się sprzedaży 5-rublowych akcji Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, z przeznaczeniem komisowych 10% na budowę tegoż schronienia.

W dniu 20 b. m. zmarł w Warszawie ś. p. Władysław Kwietniewski, nauczyciel matematyki, który przyswoił naszej literaturze wiele dzieł pierwszorzędnych z zakresu nauk matematycznych. Zmarł w wieku lat 65.

— W Warszawie zmarła ś. p. Marya bar. Jokiszówna, znana z działalności swej na polu dobroczynnym, utalentowana pianistka-amatorka. Zmarła w wieku lat 26.

— W dniu 12 grudnia zmarł we Lwowie ś. p. Dr. Wacław Sobierański, profesor Uniwersytetu lwowskiego, w wieku lat 41.

Pszczola.



OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorów o wczesne wnoszenie prenumeraty na rok przyszedły.

Treść numeru:

Słówko o naszych tradycjach, przez M. R.-S. — Trzy podróżniczy (bajka wigilijna), przez Zofię Seidlerową — Preludya Zakopiańskie (wiersz), przez Józefa Kościelskiego. — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Dwa obrazki z życia Henryka Sienkiewicza: II. Ostatni ukłon, przez M. Gawalewicza. — Z twórczości powieściowej Albionu: III, przez Puka. — Z listów do „Bluszcza“ z Paryża, przez K. D.-S. — Na półkach księgarskich, przez J. J. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul, przez Pszczolę. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 17-ty powieści Dymitra Mereżkowskiego p. t. „Zmartwychwstanie bogów“ (Leonardo da Vinci), w przekładzie E. Żmijewskiej, Dodatek: Przegląd mód. — Opis ubiorów i robót (rycin 26), oraz Tablica krajów.

— Do numeru dzisiejszego dołącza się dla wszystkich prenumeratorów prospekt „Przeglądu Polskiego.“

KURJER ŚWIĄTECZNY

tygodnik ilustrowany pod kierunkiem literackim i artystycznym komedyo i powieściopisarza

Hrabiego Bogdana Jaxy-Ronikiera.

Pismo to podług rozszerzonego programu w znacznie powiększonej objętości, złożone będzie z dwóch części. W pierwszej, pozostanie niezmieniony typ pisma humorystyczno-satyryczny; druga, część służyć będzie, jako poważny organ stosunków towarzyskich. Czytelnik znajdzie tam sprawozdanie i całą kronikę: **zaręczyn, ślubów, chrzcín, balów, rautów, wieczorków prywatnych, majówek, zbiorowych wycieczek, przedstawień teatralnych, koncertów, odczytów, wyścigów, wystaw, polowań, obiadów i t. p. widowisk, zabaw, lub przyjemności.** Sprawozdania o toaletach. Sezonowe mody **damskie, męskie i dziecinne.** **Opis wypraw ślubnych.** Korespondencye z kraju i zagranicy o ruchu towarzyskim. Praktyczne rady, co uchodzi, a co nie uchodzi, przytem wszelkie wskazówki z dziedziny „*Savoir vivre e i bon ton'u*“. Opis gier i różnych zabaw. Sport. Heraldyka i biografie. Wiadomości o przyjeżdżających i wyjeżdżających z Warszawy. Romanse, krótkie powieści lub nowelki. Ilustracje różne. Portrety. **Widoki różnych prywatnych salonów, buduarów, sal jadalnych, frontowych elewacji, willi, domów i pałaców, prezentów ślubnych, jubileuszowych, różnych zamówionych toalet i t. p.**

Będzie to typ pisma całkiem nowy i nieznany, a tak koniecznie potrzebny, jako łącznik **wzajemnych stosunków między ludźmi dobrze wychowanymi.** Pożądane są wszelkie korespondencye z kraju i zagranicy. Prenumerata roczna w Warszawie wynosi zaledwie Rb. 4 (za odnośnienie kop. 60) na prowincyi Rb. 5, zagranicą rb. 6. Okazowe numery gratis.

Adres Redakcyi i Administracji: **Warszawa, Nowy-Świat 24.**

Za Redaktora **Roman Kreczmer.** — Wydawca **Roman Kreczmer.**

Nowe modne perfumy

„Apotheose“

Fabr. L. Legrand, Paryż.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

BOROXYL

chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białosć.

✧ **Cena flakonu 60 k.** ✧

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

F. ZAMENHOFA

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

Prospekty gratis i franco.

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się, jako toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu.

NAJLEPSZY PRZYJACIEL ŻOŁĄDKA.

Brozura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku, wysła się na żądanie.



Smak jego jest wysmienity.

Compagnie du Vin
Saint Raphaël

VALENCE, DROME,
FRANCE.

Ostrzeżenie przeciw podrabianiu.

Spółka Przemysłowo-Wiejska

„Dobra Gospodyni“

Foksal 18

posiada zawsze na składzie wyborowe artykuły spożywcze, jakoto: wędliny litewskie, drób tuczony, masła różne, ciasta, pierniki, konserwy, grzyby etc. z dworów wiejskich, oraz przyjmuje na skład i za gotówkę.

Magazyn bielizny damskiej, męskiej i konfekcyi

A. SZEWCZYKOWSKIEGO

Egzystujący od lat 49 przy ul. Bielańskiej №9 Hotel Paryżki, został przeniesiony na ulicę **NOWO-SENATORSKĄ № 8, polecając się w dalszym ciągu względem Sz. Publiczności, nadmieniam, iż magazyn mój zaopatrzylem we wszelkie nowości.** **Ceny niskie lecz stałe.**

SZANOWNE PANIE.

Oszczędność to cnota społeczna!! Uwagde Ich polecamy znany w Warszawie Zakład Reparacji, czyszczenia, prania chemicznego, przerabiania według mody garderoby Męskiej i Damskiej. **Marszałkowska 143, w podwórzu. JAN.**

Nowo-otworzona Szkoła rysunkowa dla kobiet.

Architekta Stanisława Adamczewskiego ze współudziałem art. mal. Dawidowicza, zapisy od godz. 11-ej do 1-ej codziennie. Nowy-Świat 30, m. 31.

Wspaniały Podarek
Gwiazdkowy!!!

Album Sztuki Polskiej.

Cena w oprawie
Rb. 12.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Metoda Kroju i Szycia

z rysunkami Sukien, Okryć damskich i dzieciennych

EMILJI EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechowej z dyplomem paryskim

do nabycia w księgarniach oraz w **SZKOLE KROJU w Warszawie.**
ZGODA 3-CHMIELNA 24. Cena rb. 2.

PRACOWNIA KOŁDER

MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.

Ceny przystępne.

C. LESKIMarszałkowska 143, I-sze piętro front
Zakład karbowania i plisowania falban, sukien i koronek.

Karbowania fantazyjne, najnowszych deseni. Plisowania przeszło łokieć szerokie. Wycinanie przeróżnych ząbków maszyną. Wykonanie staranne i skore.

HOROSKOP

Pamiętnik ze skarbca poezji polskiej, ułożyła

Wanda Żeleńska.

Wydanie drugie, powiększone.

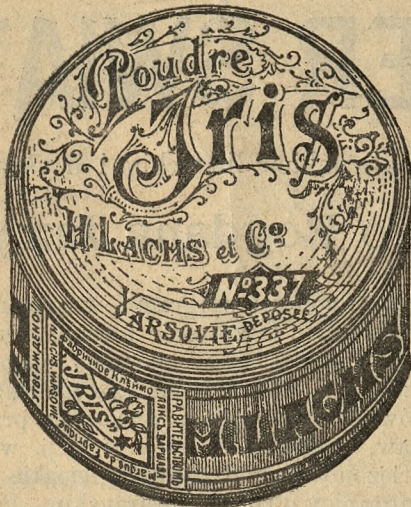
(Służyć może za album autografów).

W ozdobnej oprawie. Cena rb. 2.

Skład główny w księgarni

GEBETHNERA i WOLFFA.

Z powodu podrabiań prosimy zwracać uwagę



na № 337.

Nowość!!

Praktyczne Rachunki domowe dla gospodyń.

Najłatwiejszy sposób prowadzenia szczegółowych rachunków domowych: dziennych, miesięcznych i rocznych z dodaniem spisu bielizny.

Cena kop. 45.

Księgarnia Jana Fiszera

Warszawa Nowy-Świat 9.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Interesujące dla Pań!

Czyniąc zadość licznym zapotrzebowaniom Pań, otworzyłem przy

Pralni Chemicznej
ODDZIAŁ NOWY.

W tym celu sprowadziłem ulepszone maszyny

do harmonijki, karbowania

prostego i fantazyjnego, oraz do wycinania ząbków, co uzupełni potrzeby gustu, elegancji i mody.

Jan Kozakiewicz.

Chmielna № 2, przy Nowym Świecie.

WYDAWNICTWA

Gebethnera i Wolffa.**Dwój w Haliniskach**

powieść współczesna

EMMY JELEŃSKIEJ.

2 tomy. — Cena rb. 2.

Też autorki poprzednio wydano:

PANIENKA

Powieść nagrodzona na konkursie „Kurjera Codziennego”. 2 tomy rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

„Wieczory Rodzinne”

Tygodnik ilustrowany dla młodzieży z oddzielnym dodatkiem dla mniejszych dzieci i dodatkiem powieściowym.

W ciągu r. 1903 oprócz artykułów poważniejszych: Z. Bukowieckiej, I. Chrzanowskiego, St. Kramsztyka, W. Marrenowej, M. Werycho, Wł. Umińskiego, poczyli, wiadomości ze świata, rozrywek naukowych i t. p. zamieszcza powieści: „Błękitna wstęga”, Z. Morawskiej (z czasów Batorego), „Fryderyk Barbarossa” Teresy Jadwigi, „Wielkie Cele” I. Mrozowskiej, „Pałac w głębi oceanu” Pemberton, „Panna Wanda zagranicą”. Liczne konkursy i zadania z nagrodami.

Premia na rok 1903.

Bezpłatny dodatek powieściowy przy każdym numerze (kilka tomów na rok). Oddzielna książka na gwiazdkę. Okolicznościowe numery powiększone z rycinami kolorowymi.

Nadto prenumeratorzy „Wieczorów” nabywać mogą **wyjątkowo po cenie o połowę niższej** dzieła: Brehma, Hoffmanowej, Glogera i sześć najciekawszych powieści: Verne'a, Stephensona.Prenumerata „Wieczorów Rodzinnych”, wraz z dodatkiem powieściowym wynosi w Warszawie z odnoszeniem do domu **miesięcznie 35 kop., kwartalnie rb. 1;** z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Red. Ludwika Hauke.

Wyd. Marya Balińska.

Prospekt i numery okazowe na żądanie.

**Formy i Modele**

nadchodzą co tydzień świeże z Paryża, papierowe i muslinowe na wszelkie ubiory damskie i dzieciennne w wielkim wyborze z pierwszorzędnymi firm. Rekomendują się zarówno W. Paniom prywatnym, jak i W. Paniom krawcowym.

Do nabycia w magazynie **J. SKWARA Niecała 14.****Nauka Kroju**systemem francuskim lub angielskim. Kurs teoretyczny i praktyczny. Nauczyciel kroju **Kazimierz Lewański** wynalazca dyplomowanego „PATRONU EXPRESS”. Adres: **NIECAŁA № 14, w Magazynie okryć damskich J. SKWARA.****Michalina Kozłowska**

WŁAŚCICIELKA

pracowni sukien damskich i szkoły kroju

Dyplom. prof. akademii krawieckiej w Paryżu, Mistrzyni Warsz. cechu krawców.

Po powrocie z Paryża, zaopatrując się w najświeższe modele i polecając się nadal Sz. Klientkom, ma zaszczyt podać do wiadomości, że przy pracowni swojej wprowadziła na sposób zagraniczny **Sprzedaż kopij muslinowych najświeższych modeli paryskich z przybraniem stania i sukni**, brak których oddawna dawał się odczuwać mniejszym pracowniom sukien, krawcowym, pracującym w prywatnych domach, oraz paniom zamieszkującym na prowincji.**Kopie modeli na żądanie mogą być dopasowane do figury.**

CENY PRZYSTĘPNE.

Zapis nowych uczennic do szkoły kroju i szycia.

Warszawa, Mazowiecka № 1, 2 piętro.



Renomowany Magazyn

Farb do włosów, wąsów i brody

Egzystujący od r. 1847

Magazyn posiada różne farby doświadczone i uznane za najlepsze.

Osoby wypisujące listownie raczą nadsyłać próbki swoich włosów, co mi da możliwość wysłania najstosowniejszej farby.

Firma wysyła za zaliczeniem pocztowym.

Ceny od 1.50 do 3.50 z przesyłką.

W. KWIATKOWSKI

2. Bielańska 2,

róg placu Teatralnego.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.